Nr. 49. Lwów — Czwartek dnia 28 Lutego. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . . 6 „

Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 2 „
za tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Romana — Pamfyiyja M.
Jutro: św. Albina B. — Fteodora

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 6 m. 53
Zachód „ „ 5 „ 35

Długość dnia g. 10 m. 42
Przybyło dnia od wczoraj m. 2

Przegląd polityczny.

Lwow 27 lutego.

W Chinach taki bezład, że rokowań pokojowych na seryo zacząć nie można i Japończycy, choć może już dość mają zwycięstw, muszą jednak wojnę prowadzić. Po prostu nie ma władzy w państwie Środka ziemi, któraby jakąś myśl, wolę i siłę rozkazywania posiadała. Państwo to leży bezwładne, daje się bić, stęka i złorzeczy cudzoziemcom, ale ani się bronić nie umie, ani wykupić się od dalszych plag. Jakie tam straszne niedołęstwo, widać naprzykład z tego faktu: rada mandaryńska z samym bogdychanem postanowiła dać nieograniczone pełnomocnictwa stryjowi cesarskiemu księciu Kungowi i wice-królowi Li-Hung-Czangowi, aby co rychlej jechali do Japonii i zawarli z nią pokój za każdą cenę. Panowie ci wybrali się w drogę, przejechali okolice zajęte przez wojska japońskie i stanęli na wypoczynek w Port-Arthurze. Widok morza, przez które mieli płynąć, tak im się nie podobał, że wysłali sekretarza swego do Japonii z wezwaniem, aby ona swych pełnomocników delegowała do nich, bo im dalej nie chce się fatygować. Oczywiście, rząd japoński odmówił, bo pragnie mieć tę satysfakcyę, iż pokój będzie podpisany w Tokio. W zniewieściałość i lenistwo pełnomocników chińskich nie chcą wierzyć energiczni, czynni i zahartowani na wszelkie trudy Japończycy, wolą raczej widzieć jakiś wybieg w tej nowej zwłoce, więc zamiast wojnie dać bieg wolniejszy, aby już zacichała, gotują się do nowych operacyi i w tym celu wysyłają teraz czwartą armię. Znakomicie przydały się im do tego zdobyte na nieprzyjacielu okręta, bo wszystkie swoje już zajęli częścią w zatoce Peczyli, częścią nad brzegami wyspy Formozy, którą właśnie teraz przygotowują się zaokupować. Chińskich okrętów pancernych, zupełnie nieuszkodzonych a uzbrojonych wybornie, zabrali dziewięć, siedmnaście zaś transportowców i całą tę flotę, obsadziwszy swymi marynarzami, ściągneli do Hiroszymy, miasta nadmorskiego, najbliższego Chin. Tam rezyduje teraz mikado, tam rząd i parlament, który właśnie w tych dniach uchwalił nową wewnętrzną pożyczkę na wojnę; tam też siądzie na okręta owa czwarta armia, której zadaniem zaatakować od zachodu góry Muldeńskie, dokąd się teraz przeniesie teatr wojny.

Te góry, strome, przepaściste, z wąwozami jak kręte korytarze, przedzielają Koreę od właściwych Chin i są naturalną osłoną Pekinu. Marszałek Jamagata, zdobywszy Koreę, rzucił się ku tym górom, aby je opanować zanim się Chińczycy obejrzą, ale zachorował, musiał odjechać do ojczyzny, a następca jego jenerał Nodcu nie mógł odrazu rozwinąć pełnej akcyi. Kiedy się to działo, zaznaczyliśmy, że ta mimowolna mitręga będzie dla Japończyków fatalniejszą, niż przegranie wielkiej bitwy. Tak się też stało. Chińczycy zdołali obsadzić góry najdzielniejszym żołnierzem mandżurskim i odtąd wszystkie trudy jenerała Nodcu były daremne. Podczas gdy armia druga zajęła ogromny kraj nadmorski i czeka dogodnej chwili, aby się rzucić na Pekin, i podczas gdy armia trzecia razem z flotą zdobywała Wei-hai-wei, oraz inne sąsiednie miasta, ta pierwsza pod wodzą Nodcu znalazła w górach Muldeńskich istne Termopile. Wszystkie niezliczone utarczki nie pozwoliły jej ani na krok się posunąć. Mandżurowie biją się dobrze, bo do serca biorą sprawę bogdychana, który jest ich ziomkiem, zdobywcą Chin przy ich pomocy i specyalnym opiekunem ich prowincyi. A Japończycy zbadali, że mogą iść na Pekin koncentrycznie wszystkiemi armiami równocześnie, bo inaczej nie zdławią tego olbrzyma. Więc armia druga i trzecia, choć już dziś niezajęte, nie mogą się na stolicę posuwać, dopóki Nodcu nie sforsuje gór Muldeńskich. Otóż aby mu w tem dopomódz, wysyła Japonia armię czwartą, która wyląduje tak, aby te góry wziąć z drugiej strony i siedzącym w nich Mandżurom zajść z tyłu. Wówczas, ujęci we dwa ognie, niechybnie cofną się Mandżurowie, a wtedy wszystkie siły japońskie rozpoczną marsz na Pekin.

Tymczasem w Pekinie, jak zwykle w dobie tak ogromnych klęsk, stracono głowę do zacnej pracy, znaleziono ją do zdrady. Z Szangayu donoszą, że wykryto spisek, do którego podobno należało 50 tysięcy ludzi, a który postanowił zamordować bogdychana, wytępić całą dynastyę Mandżu (mandżurską), a na tron wynieść ubogiego potomka dawnej, czysto chińskiej dynastyi Ming. Za sprawę tej dynastyi nieraz już krwawo ścierano się w Chinach i sławę zdobyli tam waleczni zwolennicy jej, zwani Tajpingami. Okrutne wojny domowe kończyły się zawsze tłumną rzezią powstańców i ich krewnych, a samą tę dawną dynastyę bogdychanowie prawie wytępili. Tylko jeszcze gdzieś w głębi tego kolosalnego państwa i w ogromnem ukryciu znajduje się ostatni Ming — i jego-to chcieli sprzysiężeni posadzić na tronie. Głosi jednak ta szangayska wiadomość, że część spiskowców pokładała wszystkie nadzieje ratunku w wice-królu Li-Hung-Czangu, którego zowią Bismarkiem chińskim, bo wiele bitew z powstańcami wygrał, rozbójnictwo dzielnie tępił, ład w swych prowincyach zaprowadził. Jego więc chciała ta część posadzić na tronie bogdychańskim, poczęła się kłócić ze zwolennikami Minga i to doprowadziło do wykrycia spisku. Czy to wszystko prawda, stwierdzić trudno, ale tym spiskiem i jego zamiarem tłómaczą to, że Li-Hung-Czang, zamiast jechać do Japonii i układać się tam o pokój, siedzi w Port-Arthurze. A biedny bogdychan, któremu ceremoniał, nie pozwala osobiście niczem się zajmować, rozpacza, wyklina mandarynów, którzy go okłamują i chciał już podobno samobójstwo popełnić. Do tego nie dopuściła go matka, ale — znowuż wedle wiadomości szangayskich — poprzysiągł on swym bożkom, że jeśli Japończycy zbliżą się do Pekinu, to on uciekać nie będzie, lecz trupem położy się na progu świątyni Buddy. To naprawdę nieszczęśliwy człowiek

---

We Włoszech rozpoczęła się agitacya wyborcza, ponieważ wiadomo, chociaż rząd tego nie ogłosił, iż odroczony parlament już się nie zbierze, lecz będzie rozwiązany. Powszechne wybory odbędą się podobno w kwietniu. Opozycya utrzymuje, że gabinet umyślnie nie ogłasza swego postanowienia co do zmiany deputowanych, aby okres agitacyi przedwyborczej był jak najkrótszy. Jeśli tak, to zamiar ten się nie udał, bo agitacya już się zaczęła. Całe północne Włochy zajęły odrazu stanowisko przeciwne gabinetowi Crispiego. W Turynie odbył się zjazd mężów zaufania wszystkich stronnictw opozycyjnych. Znaleźli się tam obok siebie konserwatyści, umiarkowani liberałowie, zwolennicy radykalizmu i socyaliści, a te żywioły, tak bardzo sprzeczne, zdołały przecież zawrzeć układ tego rodzaju, iż podczas wyborów wszystkie te stronnictwa będą głosowały zawsze przeciw kandydatowi ministeryalnemu, a za tym opozycyonistą, który w danej miejscowości będzie miał szans najwięcej. Zdarzy się tedy, że konserwatysta odda głos radykałowi lub socyaliście, zdarzy się i odwrotnie, a taki w gruncie rzeczy nonsens można tylko wytłómaczyć nienawiścią, na jaką Crispi zapracował. Swoją drogą, izba tak wybrana, gdy już tego wroga obali, sama się stanie niezdolną do życia. Chciano jeszcze wziąć sprawę Giolitti'ego za taran do druzgotania rządu, już nawet zaczęto w dziennikach dowodzić, że Crispi z paczką aferzystów, którzy robili kryminalne interesa bankowe, zemstę poprzysiągł Giolitti'emu za odsłonięcie tych wszystkich szacherek, zwanych ogólnie panaminem. Wmówić w ogół ludności prawie zawsze można, co się podoba, więc i to-by się niezawodnie udało, chociaż byłoby krzyczącym fałszem, bo owszem, Giolitti zrobił Tanlonga senatorem i dopóki mógł, taił sprawę Banku Rzymskiego. Ale odrzucono ten zamiar, bo przeciw niemu powstała konserwatywna opozycya, której wódz Rudini oświadczył, że sprawy sądowej nie powinno się brać za narzędzie walki politycznej. Stanęło tedy na tem, żeby afery Giolitti'ego nie dotykać, zostawić ją trybunałowi karnemu, a jeśli on okaże się stronniczym, co łatwo będzie widzieć z publicznej rozprawy, to po obaleniu Crispiego proces wznowić.

W ogóle zaś sprawa Giolitti'ego stoi, jak się zdaje, niedobrze dla niego. Wybitni prawnicy, zagłębiwszy się w sens przepisów o nietykalności poselskiej, uznali, iż proces przeciwko niemu prowadzić można i nawet go aresztować, gdyby zbiedz zamierzał. Przyswoiwszy sobie takie zapatrywanie, sędzia śledczy wezwał do siebie Giolitti'ego na dzień jutrzejszy. Materyałem dowodowym przeciwko niemu są zeznania kilku urzędników ministeryalnych, jakoby oni, z rozkazu szefa gabinetu, t. j. właśnie Giolitti'ego, zdjęli pieczęcie z aktów zasekwestrowanych w Banku Rzymskim, i z tego pliku wyjęli niektóre dokumenta, z góry im wskazane przez szefa gabinetu. Owe dokumenta oni mu oddali, a co się z nimi stało, nie wiedzą. Jest-to fatalne świadectwo. Oddziałało ono na opinię publiczną tem silniej, że nietęgi polityk i minister, ale człowiek i prawnik wysoko ceniony, a przytem Crispiego zacięty przeciwnik Zanardelli nie przyjął zaproponowanej mu przez Giolitti'ego roli obrońcy. Stąd ogół wnosi, że sprawa nieczysta.

Korespondencye.

Wiedeń 24 lutego.

W ciągu zeszłego tygodnia toczył się tu proces karny, który w swej osnowie należy — wedle słów prokuratora — do najdziwniejszych w rocznikach kryminalistyki austryackiej, w szczegółach zaś budzić musi w każdym, kto jego przebieg śledził, wstręt nieprzezwyciężony. Oskarżeni, Nuchem Szapira i towarzysze (bez wyjątku izraelici polscy), trudnili się od lat 12 wyłudzaniem pieniędzy u różnych „kupców“ pod pretekstem, że im dostarczą fałszywych banknotów. Utrzymywali oni ajentów, rozsyłali listy z zachwalaniem swego „towaru“ i otrzymywali też liczne zamówienia. Jednakże nie fabrykowali oni wcale fałszywych banknotów, ani też ich nie sprzedawali. Całe ich oszustwo polegało tylko na tem, że starali się dostać zapłatę za zamówiony towar (to jest, za fałszywe banknoty), towaru zaś samego nie dostarczali nigdy; liczyli bowiem nie bez racyi na to, że oszukany obawiać się będzie wystąpić przeciw nim z denuncyacyą. Dzięki temu wyrafinowane oszustwo nikczemnej szajki mogło przez lat 10 systematycznie być uprawiane mimo setek ofiar, które w sieć jego wpadały i mimo szkody dochodzącej do setek tysięcy, a ponoszonej głównie przez galicyjskich żydów. Niepodobna powiedzieć, żeby świadkowie tego smutnego procesu, którzy tylko z powodów czysto formalnych nie znaleźli się na ławie oskarżonych, robili o wiele pomyślniejsze wrażenie od samych oskarżonych. U jednych i drugich spostrzega się niestety tę samę zatratę najkardynalniejszych zasad moralnych. Jedni oszukiwali „kupców“, drudzy chcieli fałszywe nabyć banknoty, aby oszukiwać swoich kundmanów i skarb państwa.

Nuchem Szapira ma piękną przeszłość. Już w roku 1879 fałszował marki pocztowe rosyjskie, za co skazany został na 18 miesięcy więzienia. W r. 1883 spróbował interesu na fałszywych papierach austryackich, a ponieważ istoty czynu udowodnić mu nie można było, dostał się tylko na kilka miesięcy do aresztu. Wyszedłszy z więzienia, udał się do Londynu i rozpoczął na wielką skalę tę czynność, która go teraz zawiodła do sali sądowej w Wiedniu. Nie zadowalniał się on drobnymi „interesami“, lecz rozgłaszał przez ajentów i w listach pod adresami mu wskazanymi przez osoby zaufane, że w Londynie istnieje fabryka banknotów guldenowych, pięcioguldenowych i dziesięcioguldenowych i na zamówienia przesyłał próbki towaru. Owóż jako próbki posyłał zawsze prawdziwe banknoty, a odbiorca mniemał, że to są falsyfikaty tak dobrze zrobione. Potem odbiorcę zapraszał do Rotterdamu lub Londynu, a otrzymawszy od niego sporą kwotę za towar, odsyłał go z kwitkiem pod pretekstem, że policya jest na tropie zbrodni. W Londynie gościł u siebie kupców, którzy przyjeżdżali z Galicyi do niego, a gdy się upomnieli o pieniądze, obsypywał ich wyrzutami, że są oszuści, chcący handlować fałszywymi banknotami, albo córce kazał odprowadzać ich na kolej, przyrzekając, że im tam „towar“ doręczony zostanie, tymczasem na dworcu kolejowym, opuszczał ich nagle, udając, że policya chce ich zaaresztować. Raz w wagonie kolejowym jadąc z kupcem, który mu już oddał znaczną kwotę za spodziewane fałszywe banknoty, dał się przez wspólnika na stacyi cłowej zaaresztować. Kupiec drżąc o swą skórę, błogosławił los, że wyszedł z awantury bez szwanku, kosztem tylko kilkuset zł. Juda Hopfinger z Drohobycza otrzymać miał od ajenta Szapiry, również Drohobyczanina, niejakiego Baumgartena 1.550 zł. „towaru“. Baumgarten wziął już był z góry od Hopfingera 150 zł., poczem kazał mu przybyć do Wrocławia. Tam przedstawił mu jakąś panią, twierdząc, że ona mu na którejś stacyi prusko-austryackiej wręczy fałszywe banknoty w zamian za kopertę, do której Hopfinger włożyć powinien 1.400 zł. Hopfinger stosując się do tego polecenia, włożył do koperty żądaną kwotę i oddał kopertę Baumgartenowi, aby ją zaopatrzył swoją pieczęcią. Baumgarten tak zręcznie zamienił kopertę z pieniędzmi na inną, ze staremi gazetami, że Hopfinger nie spostrzegł zamiany i dopiero na owej stacyi, gdzie spotkać miał damę z „towarem“ i gdzie daremnie na nią czekał, otworzywszy wreszcie kopertę dowiedział się, jak zręcznie go okradziono.

W ten sam sposób Baumgarten oszukał jeszcze innego kupca galicyjskiego, niejakiego Dillemana. Czy ci oszukani warci są jakichś względów i czy strata ich zasłużyłaby choć na wzmiankę, gdyby nie ekonomiczne znaczenie podobnej na cały nasz kraj rozciągniętej metody wyłudzania pieniędzy, to inna kwestya. Ten sam Juda Hopfinger na pytania przewodniczącego odpowiadał tak wymijająco, jak człowiek ze złem sumieniem. Na pytanie: „Czego pan szukałeś we Wrocławiu, a następnie w Rotterdamie?“ — odpowiada: „Dlaczego nie miałbym jechać do Rotterdamu“. — „Tak samo mógłbyś pan jechać i do Konstantynopola!“ — „A cóżbym robił w Konstantynopolu?“

Inny świadek „kupiec“ Albrecht powiada, że handluje zbożem, a na zapytanie, dlaczego kupić chciał fałszywe banknoty, odpowiada z naiwną bezczelnością: „Ja kupuję wszystko!“

Jeden z oskarżonych Roman (Jossel) Herz stanowczo wypierał się, że jest identyczny z Josellem Herzem osławionym zbrodniarzem z Częstochowy, który na ośmioletnie skazany więzienie, umknął z kryminału. Choć wykazywano mu identyczność blizn, krótszej nogi jednej i innych oznak z opisem Jossla, oskarżony twierdził, że Jossel to jego brat. Pokazało się, że wedle jego zeznań powinnoby być na świecie czterech braci Herzów, on, Jossel i jeszcze dwóch, których miejsce pobytu i zajęcie są znane. Tymczasem nigdy nie było ich więcej, niż trzech. Roman Jossel trwał uporczywie przy swojem wypieraniu się.

W ogóle kłamliwość oskarżonych posunięta do najwyższej bezczelności, budziła do nich wstręt nietylko u sędziów, ale i u publiczności.

Jeden z oskarżonych Berger, który nie był jak posądzano ajentem, ale raczej ofiarą Szapiry i żona naczelnika szajki, której nie można było udowodnić współudziału w zbrodniczych machinacyach męża, zostali uwolnieni. Dla żony Szapiry zebrali przysięgli i obrońcy składkę, aby wrócić mogła do Londynu, gdzie zostawiła dzieci bez opieki.

Szapira i Baumgarten skazani zostali na 6 lat ciężkiego więzienia, Herz na 4 lata i wydalenie z Austryi, Frischling na 3 lata.

Rozprawa zarówno ze strony obrońców, którzy ex offo zastępowali oskarżonych i ze strony prokuratoryi prowadzona była z rzadkim taktem. Przywykliśmy tu w Wiedniu do tak smutnych nieraz z prasy do sali sądowej wnikających wycieczek przeciw Galicyi, żydom jej i nie-żydom, że podnieść to należy w tym wypadku, który tyle słusznych nastręczać mógł uwag o bardzo niskim stopniu moralnym i cywilizacyjnym naszych żydów. Z wyjątkiem jednego Herza, żaden z oskarżonych pisać i czytać nie umie, nie zna żadnego europejskiego języka; świadków musiano przesłuchiwać przy pomocy tłómacza żargonu.

Paryż 22 lutego.

Proces „mistrzów szantażu“, który właśnie co rozegrał się przed kratkami sądu policyi poprawczej, dla przyszłego dziejopisarza, chcącego napisać prawdziwą historyę dzisiejszej Francyi republikańskiej będzie bardzo cennym materyałem. Ludzie bowiem, odgrywający w tym procesie główną rolę, należą do filarów radykalnego obozu republikańskiego i przez długie lata zajmowali najwybitniejsze stanowiska w świecie politycznym i literackim. O samej sprawie, stanowiącej tło procesu, pisać nie będę, gdyż jest wszystkim znaną, natomiast podam krótką charakterystykę głównych oskarżonych. Są to trzej redaktorowie: Portalis, redaktor *Le XIX Siècle*, Dreyfus redagujący *La Nation* i Canivet z dziennika *Paris*. Ci trzej kierownicy „opinii publicznej“, nie mając zgoła żadnego majątku, udoskonalili kunszt dziennikarski do tego stopnia, że potrafili na swe osobiste potrzeby wydawać corocznie przeszło po 100.000 franków, nie mając więcej jak po 20.000 doch-

---

27)

W PŁYTKIM PRĄDZIE

POWIEŚĆ

przez ***Nagodę.***

(Ciąg dalszy).

Tola w milczeniu wysłuchała tych słów; Zdzisław widząc, że nie doczeka się od niej żadnej odpowiedzi, usunął się bardzo blady i wzburzony.

W chwilę potem zbliżył się Edmund.

— Niech pani przyjmie moje powinszowanie — rzekł z ukłonem, wyciągając do niej rękę. — Odniosła pani kompletny tryumf.

— A widzisz Tolusiu, przepowiadałam ci, że zrobisz furorę; jesteś tak wyborną aktorką; ty i pan Zdzisław powinniście występować razem na cele dobroczynne; dopełniacie się wzajem tak świetnie!

Jela rzuciwszy te słowa, odbiegła dalej, wywiązując się w ten sposób z zadania gościnnej gospodyni, która każdemu powiedzieć musi coś miłego — ale echo jej słów nie milknie z nią razem; imię Zdzisława drga w powietrzu pomiędzy dwojgiem tych ludzi, którym tak dobrze by było zapomnieć choć na chwilę o jego istnieniu.

— Czy pani nie żal, że się już wszystko skończyło? — zagadnął Edmund, topiąc w jej twarzy badawcze spojrzenie, jak gdyby chciał podchwycić najdrobniejsze drgnięcie jej rysów.

— Żal mi... bardzo...

Nie trudno uwierzyć tym słowom Toli — nagle w zapytaniu Edmunda staje przed nią jasno i nieodwołalnie fakt, że rzeczywiście skończyło się już wszystko; głos jej urywa się, pod powiekami wzbiera cały strumień łez. Edmund patrzy wciąż na nią, nie ma nawet tyle litości, żeby odwrócić głowę, albo zagadać o czem innem. Nadaremnie Tola długiemi rzęsami przysłania oczy, łzy wymykają się z pod nich, płyną jedna za drugą, aż nareszcie nakrywszy twarz rękami ucieka z pokoju i chroni się aż do ciemnego bocznego korytarza, gdzie nikt jej płaczu podpatrzeć ani podsłuchać nie może.

Emil Jencki nie zważając na to, że wypadałoby mu przedewszystkiem przerzucić się w strój galowy, tak jak był, w popielatym letnim garniturze, wsunął się do dużego salonu, i przeciskając się z rzadką u niego odwagą pomiędzy gośćmi, w momencie dotarł do Edzia.

— Chodźno, zdaje mi się że... siostra twoja zasłabła — szepnął, pociągając go za rękaw.

W parę minut potem Edzio był już obok Toli.

— Co tobie siostrzyczko? co ci się stało? w czasie teatru zdawałaś się taka promieniejąca — zapytał, obejmując ją tkliwie.

— Och, Edziu, jeśli mię kochasz, zabierz mię stąd, odwieź do domu! — szepnęła Tola, łkając — ja już nie mogę udawać dłużej, już nie mam siły.

Brakowało trochę danserów na balu pani Brańskiej — ale bo też ona miała odrębny pogląd na kwestyą zaproszeń i otwierała podwoje swego domu tym tylko młodzieńcom, których nazwiska byłaby z przyjemnością wpisała na listę konkurentów swej córki.

— Co mi tam przyjdzie z takich, coby mi tylko posadzkę froterowali — mówiła w chwilach wyjątkowej szczerości, i pod pewnym względem miała słuszność — szkoda, że to praktyczne w zasadzie rozumowanie, na tańcującej zabawie wydawało bardzo gorzkie owoce, bo epuzerowie zapraszani przez panią Brańską uważając, że „froterowanie posadzki“ było poniżej ich godności, stale podpierali ściany, i dowodzący tańcami pan Erazm miał nie lada robotę nim w mazurze albo kotylionie wprowadził w ruch wszystkie danserki.

Sydzia dla braku wyboru miała trzy tańce z p. Zorem, który w duchu przyznawał, że już i jemu tego dobrego było za wiele.

Emil nie tańczył dziś wcale, i angażowany prawie wprost do pierwszego kadryla przez pannę domu, po długiej chwili namysłu oświadczył, że... postanowił sobie... w tym karnawale już nie tańczyć.

Około drugiej po północy, gdy na znak dany przez gospodynię, wszyscy ruszyli się ku jadalnym pokojom, Edmund wyszedł do garderoby i zażądał swego paltota.

— Pan już wychodzi? — zagadnął go niespodziewanie głos Emila, budząc go z kontemplacyi nad dwoma nieparzystemi kaloszami, ofiarowanymi mu przez lokaja z zapewnieniem, że są jego własne.

— Tak jest, wychodzę — potwierdził Edmund krótko.

— Czy pozwoli pan, abym mu towarzyszył?

— I owszem, służę panu z przyjemnością.

W słowach więcej było uprzejmości niż w głosie, bo prawdę rzekłszy, Edmund wielką miał ochotę odesłać do dyabła nieproszonego towarzysza; nigdy nie było między nimi szczególnej sympatyi, a od niejakiego czasu jasne oczy Emila biegnące tak często na spotkanie oczu Toli, jego głos cichy, zamieniający się prawie w niewyraźne mruczenie, gdy zwracał się z jakiemś nieśmiałem pytaniem do niej, zaczęły bardzo denerwująco działać na Edmunda. Z tem wszystkiem nie mieli powodu unikać się jawnie, i zachowywali względem siebie wszelkie pozory towarzyskiej grzeczności.

Jeżeli Emil był w ogóle małomowny, to Edmund w chwilach złego humoru milczał jak głaz, a że dzisiaj właśnie był bardzo podrażniony krótką rozmową z Tolą i jej nagłem zniknięciem, więc przeszli przez dwie ulice nie przemówiwszy do siebie ani słowa.

— Pan ma casse tête przy sobie? — zapytał nareszcie Emil.

— Nie używam tej broni.

Edmund z ukosa spojrzał na towarzysza — co miało znaczyć takie pytanie? Czy w dalszym ciągu należało się spodziewać propozycyi improwizowanego pojedynku w tej ciemnej ustronnej uliczce?

Ale spokojne zachowanie się Emila nie zdradzało żadnych wrogich zamiarów — zatem był to tylko temat konwersacyi.

— Ja także jej nie używam — ciągnął dalej Emil; na wsi nie ma potrzeby. Ja wolę wieś niż miasto.

— Czy być może?

— Tak jest, wielu ludzi podziela moje zdanie, **panna Czarnolińska także woli wieś.**

Edmund brwi zmarszczył — taka wspólność upodobań może być rzeczą bardzo przyjemną, ale co to jego miało obchodzić?

Chwila milczenia.

— Woli wieś i dlatego wyjeżdża już za tydzień.

— Panna Tola? gdzie wyjeżdża? — rzucił się Edmund.

— Na wieś, w Sokalskie, gdzie brat jej obejmuje posadę plenipotenta; będą już stale mieszkać na wsi.

— To nie może być! czemu o tem nikt nie wie? Dlaczego nie wspomniała mi o tem ani słowa?

— Ani mnie także, — zapewnił Emil, — ale wiem dobrze, że najdalej za dziesięć dni wyjedzie ztąd na zawsze.

— Dlaczego wyjeżdża? zkąd ta myśl? — nalegał gorączkowo Edmund, zapominając o swej antypatyi dla Emila i ujmując go nagle pod ramię.

— Nie wiem... powiada, że chce pracować, że już nie może znieść dłużej tego życia, jakie tu prowadzi; a może... ma inne powody. Dobranoc panu, bo mnie tędy bliżej, — wysunął rękę z pod ramienia Edmunda, na jego gwałtowny, gorączkowy uścisk odpowiedział bardzo lekko i odszedł prędko w przeciwną stronę.

— Czemu wyjeżdża? co się to stało? — powtarzał sam sobie Edmund, rozrywając paltot na piersiach, bo niespodziewana wiadomość falą krwi gorącej uderzyła mu do głowy.

Nowe życie, praca... inne powody, — urywane słowa Emila szumiały mu w uszach, nie zaspakajając gorączkowej ciekawości i niepokoju. Czy mógł uwierzyć, żeby w tej ufryzowanej główce zbudziły się nagle tak poważne myśli o życiu i jego obowiązkach, czy może, to serce jej nie mogąc wytrzymać dłuższej walki, a nie chcąc uledz zakazanemu uczuciu, szukało w ucieczce ochrony przed grożącem mu niebezpieczeństwem?

— Łotr, — mruczał tymczasem Emil oddalając się, — bałamucić Tolę, jej łamać serce! to trzeba być nie wiem czem. Jak się z nią **nie ożeni, to go uduszę. — I cichy Emilek zaciskał** palce około rączki swego parasola, jakby druzgotał już nienawistnego rywala.

XXI.

Gabinet Zdzisława był ostatnim wyrazem mody i dobrego gustu, meble obite czarną wytłaczaną skórą, sterczące na rogach dużymi brązowemi guzami; portyery ciemne i ciężkie; na jednej ścianie cała zbrojownia pordzewiała i błyszcząca, stara i nowa, świadcząca o rycerskich upodobaniach tego ulubieńca pięknych pań i bohatera tylu romantycznych epizodów.

Na biórku mnóstwo fotografii w gustownych ramkach, pamiętających jeszcze kawalerskie czasy. Naturalnie, określenie to odnosi się nie do fotografii, tylko do ram, bo to, co w nich za owych kawalerskich czasów bywało, poszło pod klucz, do głęboko ukrytego w szafie albumu, a miejsce wygnanych tak nielitościwie cudnych twarzyczek, zajęły teraz wąsate oblicza wujciów, poważne twarze ciotek, bezmyślnie uśmiechnięte buzie kuzynek, cała rodzinna falanga, którą gospodarz tego pokoju w dzień ślubu ozdobił sobie biórko na dowód, że zamienił się w statecznego człowieka.

Po nad kanapą duży portret Maryi, w czarnej jedwabnej sukni, z wachlarzem z purpurowych piór strusich w ręku, zdaje się być upostaciowaniem anioła stróża stojącego u wrót tego przybytku z ognistą pochodnią.

W mglisty, marcowy poranek dwaj szwagrowie siedzieli w tym gabinecie — a właściwie siedział tylko Zdzisław, niewyspany i ziewający po przetańcowanej nocy, rozparty na szezlongu; Edmund chodził tam i napowrót krokiem prędkim targając wąsa i rzucając ostre, przenikliwe spojrzenia na zobojętniałą w tej chwili, zblazowaną twarz swego pięknego szwagierka.

Czy z tego człowieka będzie można wydobyć coś na seryo? czy na jednem słowie, które padnie z ust tych można zawiesić i utwierdzić szalę całego życia.

(Dokończenie nastąpi).

du i nie natężając się wcale. Jakim sposobem dokazali tej sztuki, określił bardzo trafnie prokurator. „Oto panowie ci—rzekł on— istni złoczyńcy — zaciągnęli się w szeregi dziennikarstwa, ale nie po to, ażeby uczciwie pracować w swoim zawodzie, lecz na to, ażeby przerobić prasę, ten potężny czynnik postępu, w groźne narzędzie wyzysku. Nie było im do tego potrzeba ani zdolności literackich, ani przekonań. Majątkiem, z którego mogli czerpać do woli, było życie prywatne drugich. Żyli oni z denuncyacyi, ale nie tych, które drukowali, lecz z tych, któremi wiecznie grozili, że je wydrukują, to też można powiedzieć, że więcej zarabiali milczeniem, aniżeli piórem. Dzienniki ich podobne były zupełnie do zamków średniowiecznych rycerzy rabusiów, w których ci rycerze czatowali na podróżnych, aby ich z mienia ograbić. Wprawdzie dzisiejsi rycerze walczyli inną bronią niż owi średniowieczni, ale z tym samym skutkiem". Wodzem i kierownikiem wszystkich wypraw łupiezkich tego kartelu dziennikarskiego był br. Portalis, potomek głośnego niegdyś nazwiska, człowiek z wielkopańskiemi manierami. Całe życie tego człowieka było jedną frymarką piórem i sumieniem. Po komunie ofiarował książętom orleańskim swoje usługi, później założył pismo pod charakterystycznym tytułem *Korsarz*. Następnie przez pewien czas grał rolę gorliwego orędownika robotników, aż wyłudził od nich 60.000 franków pod pretekstem, że ich poszle na wystawę wiedeńską. Później razem z Girardem, który w procesie obecnym figurował również jako oskarżony, przeniósł się do redakcyi *Petit Lyonnais*, gdzie pierwszem jego staraniem było ukraść z redakcyjnej kasy 500.000 franków. Wkrótce później założył na akcye dziennik *Le XIX Siècle* i oszukał jego akcyonaryuszy na 600.000 fr. Przy wszystkich oszustwach Portalis zagarniał lwią część łupów, narażał się jednak najmniej, innych posyłał w ogień, a sam przezornie trzymał się w ukrycia. Jak wiadomo, ostatniemi ofiarami Portalisa i jego szajki byli dyrektorowie tak zw. cercle'ów, tj. domów gry, których coraz więcej namnożyło się we Francyi. Plan kampanii był bardzo prosty. Oto od czasu do czasu pojawiał się w szpaltach dziennika *XIX Siècle* artykuł, podpisany pseudonimem „stary poniter", który występując nibyto w obronie moralności publicznej, zwracał uwagę policyi i publiczności na ten lub ów cercle, w którym odbywa się gra hazardowa.

Po wydrukowaniu takiego artykułu zjawiał się w cercle'u pomocnik Portalisa du Clercq i ofiarował dyrektorowi zakładu swoje pośrednictwo celem ułagodzenia gniewu Portalisa. Zazwyczaj dyrektor taki, mając niebardzo czyste sumienie, wchodził w układy. Wyznaczano wtedy schadzkę w jakiemś miejscu neutralnem, najczęściej w salonach „barona" Heftlera, dyrektor szulerni płacił znaczniejszą sumę i okupywał się w ten sposób; ale zazwyczaj nie na długo, gdyż „stary poniter", przetrwoniwszy pieniądze, wnet poczynał znów pisywać piorunujące artykuły o strasznych wyzyskach, jakie się dzieją w domach gry, i żądał nowych sum. Ile w ten sposób wyłudził Portalis pieniędzy, nie można było sprawdzić; w każdym razie prokurator przyjął za rzecz udowodnioną, że wynosiło to co najmniej pół miliona. Z tem wszystkiem Portalis był człowiekiem bardzo zdolnym, i gdyby był chciał uczciwie pracować, byłby niewątpliwie mógł oddać krajowi ważne usługi. Jednakże — jak słusznie zauważył prokurator — człowiek ten wolał ukraść 20.000, niż zarobić 40.000. Jak rzekłem, we wszystkich szantażach Portalis prawie nigdy nie występował sam, lecz wysyłał innych w ogień. Nawiązywał rokowania du Clercq, przeprowadzał zaś je i dobijał targu administrator dziennika *XIX Siècle* Girard, który niegdyś był przełożonym zakładu wychowawczego dla chłopców i nauczycielem Portalisa. W układach takich wyrażał się Girard nieraz do wyzyskiwanych właścicieli domów gry: „Dla nas jest dziennik takim samym warsztatem, jak dla was wasze szulernie." Redaktor Dreyfuss z dziennika *La Nation* był równie jak Portalis deputowanym i kawalerem legii honorowej. Do spółki z Portalisem operował on dopiero ostatnimi czasy, przedtem zaś robił szantaże na własną rękę. W jednym wypadku wszelako nie dopisało szczęście. Chciał wydobyć grubszą sumę od znanego milionera Edmunda Blanca, syna właściciela zakładów gry w Monaco; umieszczał więc w swym dzienniku rozmaite zjadliwe paszkwile o jego rodzinie. Pan Blanc jednak, niemniej sprytny od Dreyfussa, nic mu za milczenie nie wypłacił, lecz za grube pieniądze kupił od niejakiego Dumonta dokumenty kompromitujące wielce Dreyfussa i oddał je prokuratoryi.

Z dokumentów tych okazało się, że Dreyfuss, będąc posłem, wziął od paryskich bookmacherów grubą łapówkę za to, aby w parlamencie bronić ich sprawy wobec wniosku, domagającego się wydania zakazu zakładu na wyścigach. Trzeci z kolei redaktor szantażysta Canivet, z dziennika *Paris*, stosunkowo najlepiej się przedstawiał. Poszkodowani oddawali mu pochwały, że zadowalniał się małemi kwotami i w ogóle wtedy tylko żądał pieniędzy, gdy się zgrał w karty. O tym redaktorze powiedział prokurator, że gdyby miał codziennie 25 luidorów w kieszeni, byłby najporządniejszym człowiekiem, ponieważ ich jednak nie miał, przeto został szubrawcem. Dodać muszę, że Canivet wyszedł z tego procesu obronną ręką, gdyż sąd uwolnił go zupełnie od oskarżenia, równie jak i Trocarda, zupełnie podrzędną figurę, który zaproponował dyrektorom domów gry, zapewne z upoważnienia Portalisa, ażeby składali na jego ręce 15.000 franków co miesiąc, a on zapewni im milczenie czterech dzienników, t. j. *XIX Siècle, Nation, Paris* i *Radical*. Niestety w spółce tej łotrowskiej był także jeden człowiek, który prowadził tu życie wystawne, a na każdym kroku markował swoje polskie pochodzenie. Jest nim niejaki Władysław Heftler żydek z Królestwa polskiego, uchodzący za barona. Był on przez lat kilkanaście sekretarzem znanego hulaki barona Seilliere, którego niedawno wzięto pod kuratelę. W sprawie szantażów dziennikarskich udział Heftlera dość jest niejasny, udowodniono mu tylko, że żył z Portalisem w bardzo ścisłych stosunkach i że zwykle w jego mieszkaniu odbywały się owe schadzki, na których ograbiano właścicieli szulerni. Natomiast dowiódł prokurator Heftlerowi dwa inne oszustwa dokonane na własną rękę. Mianowicie próbował od niejakiej pani Müller, Niemki, prowadzącej proces rozwodowy, wyłudzić znaczniejszą sumę groźbą, że ogłosi różne skandaliczne szczegóły jej życia, a nadto zapoznał niejakiego Błażowskiego z gronem zamożnych Francuzów, przedstawił go im jako wynalazcę cudownego specyfiku „grenade extincteur" i wyjednał to, że Francuzi dali owemu Błażowskiemu na ten wynalazek 5000 franków. Z pieniędzmi temi ulotnił się Błażowski, a wynalazek jego był zwykłą wodą posoloną. Heftler skazany został na dwa lata więzienia, równie jak i ów Błażowski, którego zasądzono zaocznie, gdyż uciekł zawczasu z Francyi. W zaoczności także skazano Portalisa na 5 lat więzienia i 2000 franków grzywny, Dreyfuss dostał rok więzienia, Declerc 15 miesięcy — Girard dwa lata.

Autonomia i biurokratyzm.

II.

Obrana przez Wydział krajowy droga, mająca doprowadzić do uporządkowania stosunków gminnych, nie jest zdaniem autora właściwą, gdyż wymaga ogromnego natężenia siły działającej, a nie przedstawia pewności, czy rezultaty tej pracy będą odpowiednie. Instytucye autonomiczne bowiem potrzebują na tej drodze stokroć większego natężenia siły działającej, aby otrzymać stosunkowo mniejsze rezultaty działalności, niż te, które osiągnąć mogą władze *par excellence* administracyjne. Władze autonomiczne, gdy schodzą z właściwej im dziedziny deliberacyi i uchwał na drogę załatwiania czynności administracyjnych, natrafiają na tysiączne trudności, które organom egzekutywy wcale nie są znane. Kiedy Namiestnictwo żąda od Starostwa natychmiastowego wykonania jakiejś sprawy i doniesienia o tem do dni trzech lub 8miu, natenczas starostwo musi temu bezwarunkowo, pod najsurowszą odpowiedzialnością zadosyć uczynić — tymczasem, jeśliby Wydział krajowy czegoś podobnego zażądał od Wydziału powiatowego, Wydział powiatowy nietylko nie jest obowiązany terminu dochować, ale nie ma najmniejszego obowiązku ani otrzymanego z Wydziału krajowego polecenia wykonać, ani nawet Wydziałowi krajowemu cokolwiek lub kiedykolwiek odpowiedzieć. Władza autonomiczna powiatowa nie potrzebuje słuchać poleceń Wydziału krajowego, ani do nich się stosować. Ona uchwala i zarządza to, co sama chce i postanowi i wtedy kiedy chce, (oczywiście w granicach obowiązujących ustaw), bo jej władza pochodzi z wyborów reprezentacyi społecznej, bo jest najzupełniej niezależną w swej sferze działania— czyli autonomiczną — i taką być musi i powinna. Wydział krajowy wcale nie ma żadnego prawa jej rozkazywać, ani swych zarządzeń narzucać. (Wyjątek pod tym względem stanowią sprawy, dotyczące zakładowego majątku gmin i powiatów, — w których Wydział krajowy może wbrew woli reprezentacyi powiatowej „w razie potrzeby użyć stosownych środków zaradczych").

A zatem rozpowszechnione u nas szeroko pojęcia o władzach autonomicznych „przełożonych" i „podwładnych", wszelkie tak ustawicznie dające się spotykać wyobrażenia o jakichś dykasteryach autonomicznych, hierarchicznie piętrzących się jedne nad drugiemi, obok czy na kształt dykasteryj rządowych, a nawet zajęte przez Wydział krajowy stanowisko, odpowiadające tym powszednim pojęciom i wyobrażeniom, oparte są tylko na złudzeniach i niezrozumieniu treści i natury instytucyj autonomicznych, na ocenianiu ich podług wzoru biurokratycznego szablonu. Weszliśmy zatem w dziedzinie autonomii na fałszywą drogę i przyspieszonym ruchem zdążamy po niej zwłaszcza od chwili, kiedy myśl reformy gminnej w drodze ustawodawczej upadła, a codzienna potrzeba dnia nasunęła z konieczności władzom autonomicznym jedyne, jakie były — biurokratyczne środki działania. Niestety to jedno nie jest złudzeniem, że nasze instytucye autonomiczne coraz więcej podobne są do dykasteryj biurowych, że stoją faktycznie jako osobne dykasterye obok dykasteryj rządowych, że mają cały swój aparat biurowy na podobieństwo tamtych, że Wydział krajowy w krótkim czasie lat ostatnich urósł w olbrzymią i ciężką maszyneryę, że dziś jest dykasteryą większą i więcej skomplikowaną niż różne urzędy państwowe, i że niestety w czynnościach tych „autonomicznych" dykasteryj coraz więcej znać z każdym dniem w pracy element biurowy, niż obywatelski. Coraz więcej znaczy formułka, szablon i rutyna, jednodniowe załatwienie lub -pychanie bieżących spraw czy „kawałków", niż samodzielna inicyatywa i gorliwa działalność obywatelska.

Autor uznaje w pełnej mierze najlepsze intencye jakiemi kierował się zarówno Wydział krajowy jak i reprezentacye powiatowe w żmudnej pracy uporządkowania stosunków gminnych, ale jak się autor wyraża, właściwie dla tego, że się to wszystko ocenia, żałować chyba wypada, że tyle trudu, tyle pracy, mozołów i tego zacnego obywatelskiego dążenia zużyto na to, aby stosunkowo tak małe rezultaty osiągnąć. Jako główne rezultaty tej działalności uważać należy uratowanie pewnej części majątków gminnych od zmarnowania lub od zawłaszczenia tudzież wprowadzenie do finansowej gospodarki gmin nieco porządku. Pod tym względem jest postęp widoczny, jest ewidencya majątku zakładowego i obrotów rocznych, budżety gminne są układane poprawniej, a nawet w urzędowaniu gmin jest nieco więcej form czy też pozorów zewnętrznej poprawności. „Ale — pyta autor — czy to wystarcza, czy to może być dostatecznym rezultatem takiej wytężonej działalności naszych instytucyi autonomicznych przez cały szereg lat kilkunastu! Złożono wprawdzie wielu wójtów z urzędu i oddalono wielu pisarzy gminnych, ale na ich miejsce przybyli tacy sami nieudolni lub niepewni jak dawniejsi. Życia w organizm gminy nie wlano żadnego. Organizm ten jest martwy. W ciągu blisko 30 lat autonomii gminnej nie zdobył się na własne życie; pod tchnieniem instytucyi autonomii powiatowej i krajowej, życie w niego nie weszło, ani się w nim nie rozbudziło, bo on jest tak bezsilny, że w nim się ruch życia ani zrodzić, ani utrzymać nie może. Nawet ten mały ruch postępu, który uznajemy, jako dodatni objaw poprawy stosunków, a więc owe fakta większego porządku w gospodarce finansowej gmin i te trochę więcej poprawności czy tylko formalizmu w urzędowaniu, są jeszcze wynikiem obcego ruchu i działania siły zewnętrznej, to znaczy, że władze powiatowe ciągle gminę poruszać, lub swymi organami zastępować muszą, gdyż inaczej ona znowu w martwotę i bierność popada.

Niewątpliwie są pewne rezultaty, tylko że w porównaniu do wielkiego natężenia sprężyn działających są mało znaczące. Gdybyśmy jednak na odwrót chcieli zestawić bilans strat i zysków tego przedsięwzięcia, czy działalności na tej drodze dla samych związków autonomicznych wyższego rzędu, a więc dla instytucyi autonomii powiatowej i krajowej, bardzo wątpliwą byłoby rzeczą wykazać jakiekolwiek dodatnie zyski, a straty są aż nadto widoczne. Przedewszystkiem nie da się tego kierunku pracy inaczej osiągnąć, jak za pomocą pewnej centralizacyi. Otóż centralizacya i autonomia to są rzeczy, które się nawzajem wykluczają. Nietylko jedna jest negacyą drugiej, ale każda z nich gubi drugą. „Autonomiczna centralizacya" jest ze stanowiska prawa publicznego niedorzecznością, której świat nie zna. Jest to rodzaj kwiatka, który wśród całej flory na kuli ziemskiej się nie znajduje i chyba tylko nie wiedzieć, czy na bujnej — czy na tak mało uprawnej — niwie galicyjskiej rosnąć może. Niestety jednak ze smutkiem uznać musimy, że zarówno wniesiony na ostatniej sesyi przez Wydział krajowy projekt reformy § 26 ustawy o reprezentacyi powiatowej, jak również tylokrotnie zewsząd podnoszone pomysły zaprowadzenia jednego krajowego etatu służby dla urzędników autonomicznych, jak wreszcie — i to jest właśnie kwestya zasadnicza — ta droga, na którą wszedł Wydział krajowy od r. 1881 w kierunku administracyjnego uporządkowania stosunków gminnych, a bez reformy prawodawczej, do niczego innego nie zmierzają i nie dążą, konsekwentnie choćby nieświadomie, jak tylko do centralizacyi w autonomii.

Zasadniczo rzeczy biorąc, jest to sprawa najważniejsza, której na korzyść autonomii zapisać nie można. Jest przytem jednak i wiele innych, które tylko do bilansu strat policzyć się dadzą. Przybyło naszym instytucyom autonomicznym bardzo wiele czynności i aktów biurowych, przybyło im mnóstwo pisaniny wszelkiego rodzaju. To zaś pociągnęło za sobą potrzebę pomnożenia służby i podwyższyło koszta, czyli dodatki do podatków. Jak uporządkowanie finasowej gospodarki gmin i uregulowanie ich budżetów pociągnęło za sobą niestosunkowo wielki wzrost budżetów gminnych, a zatem olbrzymi przyrost dodatków gminnych, tak samo ten rodzaj działalności sprawił niestosunkowo wielki wzrost wydatków autonomii powiatowej i krajowej, czyli wzrost kosztów zarządu. Ilekroć bowiem potrzeba użyć wielkiej pracy do osiągnięcia stosunkowo niewielkich rezultatów, tylekroć koszta wypadają niestosunkowo zbyt wielkie. Instytucye autonomiczne miały do przezwyciężenia w tym kierunku działania ogromne trudności; aby otrzymać dane rezultaty, musiały użyć więcej pracy, czasu i kapitału, niżby do tego potrzebowały inne organa bo instytucye autonomiczne z natury swej i przeznaczenia nie są stworzone do pełnienia zadań służby egzekutywy, dlatego też koszta zarządu wypadły stosunkowo zbyt wielkie.

Nadto właśnie rodzaj działalności zadecydował o tem, że okazała się potrzeba tworzenia i stabilizowania coraz nowych posad biurowych, zadecydował o charakterze i dzisiejszym stanie instytucyi autonomicznych, w których coraz więcej czynności publicznych wysuwa się z rąk obywateli, z rąk wybrańców społeczeństwa, a przechodzi na barki zawodowych, fachowych i płatnych urzędników. Wyrazem tej potrzeby jest obecny projekt Wydziału krajowego, dotyczący unormowania liczby posad, którą co najmniej każdy wydział powiatowy mieć musi, tudzież wzrastający z każdym rokiem etat służbowy samego Wydziału krajowego. Ze wzrostem czynności biurowych i personalu służbowego, musi iść równocześnie w parze — centralizacya.

Tu zaczyna się wielkie niebezpieczeństwo, jako nieodzowna konsekwencya dzisiejszego stanu rzeczy. Gdy większa część czynności przypada do załatwienia nie obywatelom, lecz urzędnikom w instytucyach autonomicznych, punkt ciężkości tych instytucyi przechodzi z elementu obywatelskiego na urzędniczy. To jest krzywienie zasad samorządu. Pod samorządem rozumiemy wykonywanie zadań publicznych i wykonywanie zadań władzy zwierzchniczej w zakresie lokalnym przez obywateli. Na tem zyskuje społeczeństwo: budzi się w szerokich jego kołach znajomość prawa, zrozumienie zadań władzy i potrzeb publicznych budzi się w sferach społecznych energia, inicyatywa, samodzielność, duch publicznej służby i gorliwości, rozwijają się wszelkie cnoty obywatelskie. Kiedy zaś element biurowy wypiera żywioł obywatelski, kiedy większą część zadań publicznych wykonywa personal służbowy, natenczas nietylko, że te cnoty w społeczeństwie nie wyrabiają się, lecz gasną, a w samych reprezentantach społecznych powstaje pewne apatyczne znużenie czy zniechęcenie. Element obywatelski potrzebuje jednak mieć właściwe pole działania, a zatem pole obrad, uchwał, samodzielności pracy w razie zdarzającej się każdej potrzeby publicznej, współdziałania w specyalnych komisyach. Trudno go zaprządz do statecznej, ciągłej pracy biurowej, załatwiania bieżących „kawałków", bo do tego się nie nadaje, a często nawet traci przytem swą wyższość poglądu i ducha inicyatywy. Są jednostki, które i to potrafią bez zatracenia właściwych obywatelom przymiotów, ale od ogółu trudno tego żądać. Wykonanie zaś wszystkich czynności biurowych ciągłych, codzienna praca biurowa spoczywać musi na personalu służbowym, t. j. na stałych urzędach z tem zastrzeżeniem, że one muszą być należycie zorganizowane, odpowiednio do potrzeb i przeznaczenia władzy wykonawczej. Inaczej oddziaływa to szkodliwie i na ten personal biurowy. W tem właśnie leży powyżej zaznaczone niebezpieczeństwo.

Siedemsetna rocznica urodzin

św. Antoniego Padewskiego.

Od siedmiu prawie wieków Padwa jest celem pobożnych pielgrzymek. Od złożenia bowiem w Bazylice OO. Franciszkanów zwłok chwalebnego św. Antoniego, ku Padwie zwracały się oczy całego świata. Z dalekich stron udawali się do grobu św. Cudotwórcy pojedynczo i gromadnie, potrzebujący i szukający pociechy, ulgi, ratunku i pomocy. Ci zaś, którzy nie mogli dostać się do miejsca nieustających, rozgłośnych cudów, myślą i sercem w podróż się puszczali ku owej świątyni, która posiada drogocenne relikwie, by złożyć u stóp świętego swoje utrapienia, by polecić się jego skutecznej opiece. Inni jeszcze prosili o relikwie, by je wystawiać na ołtarzach i w świątyniach ku czci świętego wzniesionych. Od owego to czasu Padwa stawała się coraz więcej znaną, coraz częściej odwiedzaną i od owej chwili poczęły się spełniać słowa św. Antoniego, wyrzeczone na kilka dni przed swoją śmiercią. Pewnego razu, gdy św. Antoni powracając z Kamposampiero do swego ulubionego miasta, przyszedł na wzgórek, skąd dobrze było widać Padwę, zatrzymał się nieco cały rozradowany, oddając jej ukłony i okazując oznaki zadowolnienia, nagle zwrócił się do swych towarzyszy i rzekł: „O gdybyście wiedzieli, kochani bracia, jak wielce miasto to ma być uczczonem i uwielbionem!" Nie rozumieli jeszcze wtedy Bracia znaczenia owych słów, i dopiero po jego śmierci, widząc Padwę wsławioną po całym świecie przez grób, relikwie i głośne cuda wielkiego Cudotwórcy, poznali znaczenie proroctwa św. Antoniego

Otóż ku tej Padwie szczególnie tego roku pobożni i czciciele św. Antoniego zwracają swe oczy, kierują swe myśli, szlą swe serca i westchnienia W Padwie bowiem tego roku czynią się wielkie przygotowania do uroczystego obchodu siedemsetnej rocznicy urodzin św. Antoniego. W przygotowaniach tych bierze udział czynny cały świat katolicki. I słusznie, gdyż św. Antoni nie jest świętym tylko miasta Padwy, lub Włoch, lub Portugalii i Lizbony, gdzie przyszedł na świat, św. Antoni, jak się wyraził Leon XIII, jest „świętym całego świata", jest „świętym cudów". A na to dowodów słownych nie potrzeba, gdyż cuda za jego przyczyną zdziałane, głośno i jasno mówią.

Padwa zaś, której św. Antoni jest opiekunem i patronem, nie chcąc pozostać w tyle, nie chcąc dać się zawstydzić innym miastom i prowincyom i tym wszystkim, którzy dziś właśnie przy byle jakiej sposobności często z krzywdą kraju i wbrew woli i uczuciom większości, starają się uwieczniać pamięć i czyny ludzi, przez wznoszenie pomników, wmurowywanie tablic z szumnymi napisami, — i to niestety nierzadko takich ludzi, którzy raczej na wieczne zapomnienie, na wieczną pogardę zasługują niż na cześć i pamięć. Padwa więc, by okazać swe uznanie i religijność, postanowiła uczynić pamiętną 700 rocznicę urodzin swego św. Patrona. Pomnikiem zaś tym ma być odnowienie i upiększenie bazyliki świętego.

Postanowiono więc złożyć z bronzów Donatello wielki ołtarz; sprawić jeden nowy pierwszorzędny organ w miejsce dotychczasowych czterech, — dać drzwi bronzowe na miejsce dzisiejszych drewnianych a bynajmniej nie nadających się do takiej Bazyliki, jaką jest Padewska; w końcu z biegiem czasu odmalować cały kościół. Oprócz tego wydrukowanymi będą po łacinie kazania niedzielne i świąteczne głoszone i pisane przez samego św. Antoniego. Dalej mają zamiar ogłosić drukiem Archiwum muzyczne kapeli świętego. Następnie zabrać się do ogłaszania Roczników dell'Arca, które się znajdują w Archiwum, od początku jego istnienia aż do chwil obecnych. Nawiasem dodaję, że już od kilku lat wychodzi w Padwie illustrowane miesięczne pisemko w języku włoskim, francuskim i niemieckim, podające sprawy dotyczące już to Bazyliki, już cudów Świętego. Nadto OO. Franciszkanie, by więcej jeszcze rozkrzewić nabożeństwo do św. Antoniego, wystarali się u Stolicy Ap. o przemienienie na Arcybractwo, Bractwa tutaj od dawna istniejącego pod wezwaniem św. Antoniego. Co zaś do samych uroczystości kościelnych, to odbędą się one w dniach 15, 16 i 17 czerwca; później 15, 16, 17, 18 sierpnia, jako w samą 700 rocznicę urodzin św. Antoniego. W uroczystościach tych wezmą udział Najprz. ks. biskupi polskich Dyecezyi. biskupi z Zakonu Franciszkanów, a zakończy Jego Excl. Patryarcha Wenecyi. Pielgrzymki zaś trwać będą cały ten rok.

Słyszałem, że i Polacy mają urządzać pielgrzymkę do Loreto z Rzymu. Sądzę, iż dobrze by zrobili gdyby i Padwę obrali sobie za cel pielgrzymki, gdy już tamtędy będą przejeżdżać. Znana jest w Polsce nabożność do św. Antoniego. Otóż okoliczność ta nadaje się jak najlepiej do dania dowodów jej. Nie powinno się przeto zadowalniać zwykłem odwiedzeniem kościoła: wpaść do niego tak jak po ogień, jakto raz zrobiła mała pielgrzymka polska (nie z Galicyi), ale uczynić to wszystko co nadaje należyty wyraz pielgrzymce. Polacy, powtarzam zawsze odznaczali się nabożeństwem do św. Cudotwórcy i często szukali jego opieki. Dowodem tego już to samo jest, że wielu z nich chciało mieć swe groby pod sklepieniamni Bazyliki padewskiej.

Wiadomo może nie jednemu, iż w kościele św. Antoniego Polacy mają swój ołtarz św. Stanisława, swój grobowiec i kilka innych partykularnych grobów. Ołtarz św. Stanisława biskupa i męczennika i pod nim grobowiec powstał w roku 1607 za staraniem ś. p. Mikołaja Ossolińskiego. Około owego czasu młodzież polska uczęszczała na sławny podówczas Uniwersytet padewski. Ossoliński zaś był jej syndakiem i reprezentantem. Ani imion ani liczby pomarłych studentów historya Bazyliki nie podaje. Partykularnych zaś osób, których ciała w Bazylice pogrzebane były, jest kilka a mianowicie: Po lewej stronie ołtarza św. Stanisława jest marmur z napisem, który dowodzi jako tutaj złożono wnętrzności ś. p. ks. Aleksandra Kazimierza Sapiehy w roku 1619. Po prawej znowu widzimy drugi napis z roku 1637 poświęcony pamięci ś. p. ks. Krzysztofa Sapiehy. Nieco dalej, zawsze po tej samej ręce, jest nagrobek i napis w języku polskim i włoskim, z którego dowiadujemy się, że w roku 1840 złożono tutaj ciało Karoliny z hr. Wojnów ks. Jabłonowskiej. Aż do roku 1809 u stóp tego ołtarza (gdzie dziś jest liczba „7"), był kamień grobowy, położony przez Erazma Dębińskiego ku czci Stanisława Mińskiego, sekretarza królewskiego. W wspomnianym zaś roku przy odnowieniu ołtarza i posadzki kamień ów przeniesiono na krużganki klasztoru.

Idąc dalej tą samą nawą aż do pierwszej kaplicy, która jest po za kaplicą św. Antoniego i Matki Boskiej zwanej Mora, napotyka się na grób i pomnik Mikołaja Ponetowskiego (zdaje się, iż powinno być Poniatowskiego). Pomnik ten postawił brat zmarłego, Andrzej, w r. 1598. Na przeciwległej stronie jest znów pomnik Adama Zalenskiego (prawdopodobnie Załęski) pochowanego tutaj w roku 1603. W trzeciej z rzędu kaplicy jest jeszcze grób Erazma z Kretków, który po długich podróżach zaszedł do Padwy i tam pod opieką św. Antoniego odpoczął spoczynkiem wiecznym w r. 1558.

Oprócz wyżwymienionych grobów są jeszcze dwa na krużgankach klasztoru, mianowicie: przy ścianie południowej pierwszego zaraz kwadratu grób Andrzeja Kańskiego, zmarłego w kwiecie wieku roku 1586. Tudzież w ścianie wschodniej grób z pomnikiem Juliusza Dunina Wąsowicza, który po powstaniu r. 1830, musząc opuścić drogą ojczyznę, przybył z matką do Padwy, gdzie oddał Bogu ducha.

Padova al Santo 24 lutego 1895 r.

Ks. Jan Warchoł.

KRONIKA.

Lwów 26 lutego.

Ze sfer sądowych. Prezydent lwowskiego sądu krajowego p. Józef Piątkowski usunął się od urzędowania, gdyż dotknięty został kataraktą. Urzędowanie w zastępstwie jego objął wiceprezydent sądu kraj. p. Ludwik Białoskórski.

Odczyty. Ks. prałat Jan Gnatowski wygłosi 10 marca w Tarnopolu odczyt na temat „Bez dogmatu" i „Rodzina Połanieckich" Sienkiewicza. Dochód na ubogich wstydzących się żebrać. Hr. Wojciech Dzieduszycki wygłosi w lwowskiem Kole literackiem w piątek 1 marca o godzinie pół do 8 wieczorem odczyt „O estetyce przyrody". P. Jan Styka będzie miał jutro odczyt w Czytelni katolickiej na temat „Jeruzalem za czasów Chrystusa".

Z Tow. prawn. lwowskiego. We czwartek o pół do siódmej wieczorem w sali rozpraw sądu krajowego cywilnego odbędzie się dalszy ciąg wykładu prof. dra Aleksandra Janowicza „O dowodach".

Konkursa. Rady szkolne okręgowe w Samborze i Śniatynie rozpisały z terminem do końca marca konkurs na kilkadziesiąt posad nauczycielskich. — Wydział Rady powiatowej w Borszczowie ogłasza z terminem do 15 marca konkurs na posadę lekarza okręgowego w Mielnicy w powiecie borszczowskim z roczną płacą 500 złr. i ryczałtem na koszta podróży w kwocie 400 zł.

Wiadomości dyecezyalne. Gr.-kat. dyecezya przemyska: Prezenty otrzymali księża: Aleksander Jaremkiewicz na Krechów w pow. żółkiewskim, Michał Szumyło na Cyków w pow. przemyskim, J. Demianczyn na Kramarzówkę w powiecie jarosławskim.

Losowanie sędziów przysięgłych. Na drugą kadencyę sądu przysięgłych, która się rozpoczyna dnia 22 marca, wylosowani zostali jako przysięgli główni: Aleksander Karol Nadwodzki, dr. Kazimierz Olearski, Edward Schilling, Józef Stefanowicz, Franciszek Staff, dr. Antoni Barański, Wojciech Rutkowski, Tadeusz Kownacki, Seweryn Krogulski, Aleksander Edward Grzybowski, Jan Stromenger, Jan Lerski, Kazimierz Michalewski, Roman Pilawski, Witold Niezabitowski, Władysław Marcinkowski, Franciszek Wojciech Jędrzejowski, Stanisław Zwolski, Herman Dörmann, Jan Amborski, Wincenty Kuźniewicz, Czesław Mrawinczyc, Aleksander Domaszewicz, Tomasz Kaczyński, Leon Henryk Olszewski, dr. Aleksander Skórski, Jakób Sprecher, Józef Michalczewski, Wojciech Kosiba, Karol Smolka, Wiktor Osiadacz, Bronisław Błocki, Julian Cybulski, Henryk Tretter, Izydor Meschel, Władysław Menda.

Jako zastępcy przysięgłych: Jan Ważny, Władysław Wojciechowski, Karol Władysław Christianus, Józef Landes (syn), Michał Lenartowicz, Karol Tuszyński, dr. Maksymilian Kraus, dr. Andrzej Gońka, Franciszek Wiesner.

JE. arcybiskup lwowski Morawski, uwzględniając ciężkie dla rolników naszych czasy, opuścił dzierżawcom w swoich dobrach stołowych 25 prc. z tegorocznej tenuty dzierżawnej. Ten szlachetny i prawdziwie obywatelski czyn czcigodnego arcypasterza zasługuje tembardziej na publikacyę, że dobra arcybiskupie wydzierżawione są nie spekulantom, ale rolnikom gospodarującym z zamiłowania i nie niszczącym zasobów ziemi, zaś dzierżawcy wobec klęsk elementarnych, lichych cen i braku zbytu musieliby ponieść znaczne straty, a może nawet uległiby ruinie, gdyby nie wspaniałomyślność ich jurysdatora.

Koło polskie omawiało na onegdajszem posiedzeniu sprawę pociągu błyskawicznego, który od 15 czerwca rb. ma kursować między Wiedniem a Lwowem. Niektórzy posłowie domagali się, aby godziny przyjazdu i odjazdu tego pociągu do Lwowa i ze Lwowa tak były uregulowane, iżby pociąg ten miał połączenie z pociągami kursującymi na linii stryjskiej, tarnopolskiej itd. Po długiej dyskusyi Koło uchwaliło prosić przewodniczącego, ażeby poczynił u jeneralnej dyrekcyi kolei państwowej odpowiednie kroki o połączenie tego przyszłego pociągu błyskawicznego z pociągami, kursującymi na bocznych kolejach, jeżeli to będzie możebne bez znacznych wydatków.

Nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. Arcyksięcia Albrechta odbędzie się w kościele OO. Jezuitów jutro we czwartek dnia 28 b. m. o godzinie 10 rano.

Oryginalny typ skąpca. Przed paru tygodniami umarł w mieście Rybińsku, w głębokiej Rosyi, handlarz zbożem i milioner Jeleckoj, którego życie dostarczyło bardzo oryginalnego rysu psychologicznego. Jeleckoj należał do zupełnie nieznanego na zachodzie Europy, a natomiast pospolitego w Rosyi typu krezusów: człowiek bez najmniejszego wykształcenia zawodowego, kompletny chłop, umiejący zaledwie licho podpisać się i postawić obok siebie kilka niezgrabnie nakreślonych cyfr, potrafił jednak z tak małym zasobem inteligencyi, przy pomocy wrodzonego kacapom rosyjskim kupieckiego sprytu obracać milionowym kapitałem i robić znakomite interesa. Przed trzema laty Jeleckoj był właścicielem majątku wynoszącego 50 do 60 milionów rubli, gdy przyszedł na Rosyę okropny, a tak pamiętny jeszcze do dzisiejszego dnia rok głodowy. Fatalny nieurodzaj, który nawiedził państwo rosyjskie, pozwalał już w lecie obliczyć rozmiary zagrażającej klęski ekonomicznej.

Jeleckoj mimo, że zamiast porządnych cyfr sadził na papierze zygzaki, zdołał jednak obliczyć, że jest to dla takiego, jak on kapitalisty doskonała sposobność do zrobienia wielkiego interesu. Pomyślał sobie: „Zmobilizuję cały mój ruchomy kapitał, zakupię jak najwięcej zboża, a kiedy głód zajrzy krajowi w oczy, podyktuję ceny według upodobania: dziś kosztuje pud pszenicy 85 kopiejek — wezmę 3 ruble, pud żyta 62 kopiejek — wezmę 2·50 rubla; w ten sposób z 50 milionów w krótkim czasie zrobi się pół miliarda, a wtedy będę miał dosyć". Istotnie Jeleckoj przeprowadził pierwszą część swego planu z największą skrupulatnością. Puścił w ruch cały swój ruchomy kapitał, gorączkowo skupywał wszystkie gatunki zboża, budował magazyny, gromadził zasoby, krzątał się, uwijał z całym sprytem, w jaki natura wyposażyła tę ruchliwą i przebiegłą kastę ludzi, do której należał. Nie było na całym prawie obszarze Rosyi znaczniejszego miasta, w którem by ten handlarz zboża nie założył punktu operacyjnego.

Nadeszła pamiętna dla Rosyi zima r. 1892, a z nią powszechny głód, który tysiącami wtrącał nędzarzy w ramiona śmierci. Cena zboża podskoczyła od razu w nieproporcyonalny sposób. Z 85 kopiejek pud podniósł się do rubla, potem do rubla pięćdziesiąt, do dwóch, gdzieniegdzie do dwóch pięćdziesiąt... Jeleckoj zacierał ręce, przeliczał w myśli spodziewany rezultat tej szalonej zwyżki i czekał. „Niżej trzech rubli nie sprzedam ani puda — rozważał sobie — trzeba zaczekać jeszcze tydzień, jeszcze dwa, cena zaokrągli się, a wtedy rzucę na targ całą masę zbożową". Tymczasem głód srożył się w sposób przerażający. Cała Rosya przedstawiała ponury obraz, składający się z najjaskrawszych odcieni nędzy ludzkiej. Chłopi marli od głodowego tyfusu krociami, nihiliści zaczęli z podwójną energią nurtować wśród niezadowolnionych mas, tu i ówdzie

tragedya głodowa zaznaczyła się nawet krwawym buntem doprowadzonych do rozpaczy chłopów...

Położenie stawało się z każdą chwilą groźniejsze i rząd, z początku bezradny wobec szerzącej się klęski, musiał chwycić akcyę ratunkową energicznie w swoje dłonie. Krok ten był zarazem przełomem w rozpaczliwem stadyum, w jakiem znajdował się cały kraj. Zorganizowano na wielką skalę zakupno zboża po za granicami, wypuszczono zapasy wojskowe i wszystkiemi środkami komunikacyjnemi, jakie były do rozporządzenia, rozwożono je po okolicach najbardziej dotkniętych klęską, chcąc zatamować tyfus i wzrastające niezadowolnienia tłumu. W ślad za tem wyśrubowane *ad maximum* ceny zbożowe zaczęły raptownie spadać. Był czas, że do owych 3 rubli za pud, które jako granicę operacyjną naznaczył sobie Jeleckoj, brakowało już tylko 20 kopiejek. Ale uparty milioner wytrwale stał przy swojem założeniu i czekał, aż drożyzna przyniesie upragnioną cenę.

Stało się jednak inaczej. Zamiast podskoczyć, zboże obniżało się teraz prawie w tak samo szybkiem tempie, jak przedtem szło w górę. Z 2 rubli 80 kopiejek spadło najpierw na 2 ruble 50 kopiejek, potem już tylko na 2 ruble, na rubla ośmdziesiąt i ciągle w tym stosunku szło na dół. Jeleckoj nie dał się zbić z tropu: kacapskie nerwy ani zadrgały na myśl, że taki milionowy interes ginie dla niego może bezpowrotnie. Uśmiechał się tylko w duchu i czekał co przyniesie przyszłość, pewny, że nie pomyli się w rachubach i doczeka się ponownej zwyżki cen, która mu pozwoli po 3 ruble za pud sprzedać swoje olbrzymie zapasy. Tak myślał Jeleckoj, a ceny szły ciągle w dół. Z rubla ośmdziesiąt szybko przesunęły się aż do kwoty, po której Jeleckoj sam skupował zboże na wypełnienie głodowych magazynów, a wnet potem przekroczyły nawet i tę granice tak, że gdyby się teraz był opamiętał i sprzedał wszystko, co nagromadził na spekulacyę, wyszedłby z tej kampanii z parumilionową stratą.

Ale on o tem wcale nie myślał. Głębokie przekonanie, jakie miał początkowo, zamieniło się teraz w upór i Jeleckoj postanowił, nie zważając na nic, przetrzymać zniżkę dopóty, dopóki ceny nie zwrócą się napowrót ku górze i nie zatrzymają na wykombinowanych 3 rublach. Trwało to dość długo, gdyż tymczasem skończył się głód w Rosyi, a najbliższe lato, jak gdyby na przekór rachubom zbożowego potentata, dało najpiękniejsze urodzaje... Jeleckoj pozostał na lodzie z zawiedzionemi kombinacyami, z kilkudziesięciomilionowym niezużytkowanym zapasem zboża i okropną stratą finansową. Niezrozumiały upór, będący w istocie wyjątkowym objawem psychologicznym, nie opuścił skąpego starca do końca. Nawet w obec tak fatalnego zakończenia swoich kombinacyi i zupełnego nieprawdopodobieństwa, aby haussa zbożowa mogła rozwinąć się na nowo i uratować jego zapasy, postanowił nie sprzedać ani puda niżej 3 rubli. W ten sposób dwa lata przetrzymał zboże w magazynach, póki nie zgniło, nie spleśniało i nie padło ofiarą milionów myszy, dzięki czemu zrobiło się przydatnem już tylko na nawóz. Jeleckoj ze stoicyzmem patrzał na tę ruinę swego mienia i z właściciela 60-milionowego majątku został prawie biedakiem. Z całego majątku, którego dorobił się w ciągu kilkudziesięciu lat swej kupieckiej karyery, pozostały mu budynki i domy wartości niespełna miliona rubli. Okropny zawód gryzł go i pożerał powoli resztki pozostałej energii. Przed paru tygodniami umarł z rozpaczy ten dziwny typ upartego skąpca.

Gry olimpijskie w r. 1896. Współczesność pozazdrościła starożytności. Jeżeli się nie zdarzy nic nadzwyczajnego (a o wypadki nadzwyczajne nie tak znów trudno w Grecyi), gry olimpijskie odbywać się będą w Atenach w roku przyszłym od 5 do 15 kwietnia.

Komitet organizacyjny gier, pracujący pod przewodnictwem greckiego następcy tronu, już zredagował program tych uroczystości sportowych. Program ten w ośmiu oddziałach obejmuje prawie wszystkie rodzaje ćwiczeń sportowych, uprawianych z takim zapałem w czasach nowszych.

Sport atletyczny w ścisłem tego słowa znaczeniu obejmie więc biegi piesze na dystansach 100, 400, 800 i 1500 m. (biegi płaskie) i na 110 metrach (biegi z płotami), dalej konkursy skoków wzdłuż i wzwyż, rzucanie ciężarami i krążkami, wreszcie wyścig pieszy na przestrzeni 48 kilometrów, zwany wyścigiem Maratonu, dlatego, że odbywać się będzie na przestrzeni przebieżonej przez owego żołnierza historycznego z pola bitwy pod Maratonem do Aten.

Zwolennicy fechtunku znajdą w grach olimpijskich z roku 1896 dużo punktów zajmujących dla siebie. Kolejno rozgrywane będą konkursy o „szampionat" rapiru, szabli i szpady. Szermierstwo jest jedynym sportem, gdzie w zapasach brać mogą udział specyaliści. Boksowanie wykreślono z programu, jako sport niedość ucywilizowany.; za to walki zapaśnicze znajdą w Atenach swoich przedstawicieli.

Gimnastyka obejmuje ćwiczenia zwykłe indywidualne: trapez, drążek, pierścienie, drążki równoległe, skoki przez konia, ćwiczenia z ciężarami; prócz tego zaś ćwiczenia zbiorowe, w których stowarzyszenia gimnastyczne brać mogą udział przez delegowanie co najmniej dziesięciu swoich przedstawicieli. Następnie idą konkursy strzeleckie i konkursy jazdy żaglowej, której organizacyą zajmuje się francuski „Union des yachts". Wioślarze wezwani są do Aten na trzy biegi po 2000 metrów na łodziach pojedyczych, podwójnych i potrójnych. Nadto jeden bieg specyalny będzie urządzony dla załóg okrętowych.

Trzy konkursy znajdujemy również w rubryce pływania, mianowicie na 100, 500 i 1000 metrów. Ciekawy będzie match t. zw. *Water-polo*, polegagający na grze specyalną piłką w wodzie.

Lwią część programu poświęcono, rzecz prosta, bicyklom: odbędą się tedy biegi 2.000 i 10.000-metrowe bez leaderów, 100-kilometrowe i 12-godzinne z leaderami. Fachowcy są wykluczeni. Wyścigów konnych nie będzie, uwzględniono jednak konkursy jazdy konnej (jazda maneżowa oklep i na siodle, skoki przez przeszkody, woltyż, wyższa szkoła jazdy.) Pozostają jeszcze gry atletyczne. Będą one reprezentowane przez najliczniejsze stowarzyszenia *lawn-tennisowe* i przez towarzystwa krykietowe. W konkursach tych brać będą udział przeważnie Anglicy.

Gry olimpijskie otwarte są dla wszystkich bez wyjątku narodowości. Zwycięzcy otrzymywać będą tytuły „szampionów" świata, które związane będą z ich nazwiskiem, dopóki następne gry olimpijskie nie przyznają tytułów innym zwycięzcom.

Zwyrodnienie. Dr. Hugues opowiada ciekawy wypadek ze swej praktyki: „Pewnego razu zgłosiła się do mnie młoda 26-letnia kobieta, szukając porady na wewnętrzne, chroniczne cierpienie. Chcąc dotrzeć do źródła choroby, zapytałem mej pacyentki o niektóre szczegóły z przeszłości. Opowiadanie, jakie usłyszałem, zasługuje nietylko na uwagę lekarzy, ale i psychologów. Otóż pacyentka moja wyszła zamąż w 17 roku życia za mężczyznę 21-letniego. Małżeństwo to, zawarte we wzajemnej skłonności, rokowało pomyślne życie w przyszłości. Niestety! mąż po pięciu latach opuścił swą małżonkę. Owocem tego związku było dwoje dzieci. Jak dotąd nic nadzwyczajnego — co prawda, ale posłuchajcie tylko, co to za dziwak był ów pan małżonek. W pierwszych dniach po ślubie (tak opowiada moja pacyentka) mąż mój był uprzedzająco grzeczny, nadskakiwał mi, całował, pieścił i ściskał — zupełnie jak narzeczony — i nic więcej. Może w tydzień po ślubie małżonek mój był więcej czułym, niż zwykle. Gdy nadszedł wieczór, wyniósł z drugiego pokoju ogromne pudło, z którego wyjął... olbrzymią damską perukę z bardzo długiemi włosami, prosząc na wszystko, abym ją przymierzyła. Nie chcąc się sprzeciwiać chwilowej—jak sądziłam — fantazyi mego małżonka i pana, włożyłam ową perukę. Zachwyt mego męża wówczas nie miał granic, a przyznam się otwarcie, że i ja czułam się najszczęśliwszą z kobiet. Odtąd co wieczór, kładłam perukę. Mąż mój jednak powoli ostygał; po trzech tygodniach przyniósł mi zupełnie nową perukę. Gdym się w nią ustroiła i w małżonka nowe życie wstąpiło.

— Czy długo pani żyłaś z mężem?

— Pięć lat.

— I często kazał pani zmieniać peruki?

— Co kilka tygodni.

Pokręciłem głową niedowierzająco. Zauważyła to moja pacyentka.

— Widzę, że doktor nie wierzysz w moje opowiadanie, a jednak dowody ekscentryczności mego męża dotąd zachowałam.

Wyraziłem chęć ich obejrzenia. Udałem się tedy do mieszkania pani ***. Widoku, jaki ujrzałem, nigdy nie zapomnę. W olbrzymim pokoju, na stołach, gwoździach i różnych kołkach wisiały najrozmaitsze peruki. Naliczyłem ich 72!

— Czy pani mąż nie był czasem fryzyerem?

— Nie, panie.

— A może ajentem policyjnym?

— Także nie.

— Więc chyba artystą dramatycznym?

— Nienawidził teatru.

— Czemże więc można wytłómaczyć ten dziwny gust do peruk, gdyż o ile widzę, natura nie poskąpiła pani bujnych włosów?

— I ja nieraz nad tem się zastanawiałam. Zapomniałam jednak objaśnić doktora o tem, że mąż mój, strojąc mnie w coraz nową perukę, miał w myśli obraz zwykle jakiejś sławnej kobiety. Kolejno więc byłam dla niego jako Wenus, Fryne, Kleopatra, Brunhilda, Joanna d'Arc, Anna Boleyn, pani Dubarry; to znów widział we mnie jakąś divę operową, w rodzaju Patti lub Nilson — wreszcie nowa peruka dawała mu obraz śpiewaczki bulwarowej, o której wyczytał w dziennikach.

Teraz zrozumiałem. Był to poprostu maniak, objawiający zboczenie umysłowe na tle zaburzeń seksualnych. Prawdziwy typ zwyrodniałego neurostenika.

Koalicyjny bufet. Z Wiednia piszą: Członkowie Rady Państwa muszą także od czasu do czasu jeść i pić. W tej mierze bufet nie zadowalniał ich podniebienia i kieszeni, więc uchwalono objąć go we własny zarząd. Wybrano komisye z wszystkich stronnictw, które po kolei będą uchwalać *menu* i dozorować jakości wykonania. Będą zatem pojawiać się, oprócz wiedeńskiej wybornej sztuki mięsa, także inne narodowe potrawy, więc rogalki badeńskie, *schmorn*, szynka czeska i knedliczki z powidłami, barszcz, zrazy, bigos, „śliwkówka" z Bolanowic, filet z gęsi i morawski kołacz serowy, mamałyga, raki lublańskie i tort lincki i t. d. Jak sam parlament, tak i kuchnia jego powinna odtąd reprezentować 17 krajów — o ile który z nich ma coś dobrego do zjedzenia. Będzie to niewątpliwie także skuteczny sposób na dobry humor i koalicyjną pojednawczość posłów. Nimfą bufetową pozostała Mizzi.

Kolej elektryczna, łącząca miasta Chicago i St.-Louis, a mająca długości 466 kilometrów, zostanie wkrótce oddaną do publicznego użytku. Prąd, potrzebny do wprawienia wozów w ruch, będzie wytwarzany w czterech centralnych stacyach. Pociągi nowej kolei kursować będą z szybkością 160 kilometrów na godzinę, tak iż przestrzeń pomiędzy obu miastami przebędą w przeciągu trzech godzin. Dziś, aby się dostać z jednego miasta do drugiego, potrzeba całego dnia. Wagony są bardzo niskie, przeto punkt ciężkości ich znajduje się bliżej szyn, niż to ma miejsce przy innych dotąd używanych wozach; przód wozów jest spiczasty, ażeby łatwiej pokonywały opór powietrza. Kolej jest tak urządzoną, że będą mogły po niej chodzić także pociągi poruszane parowemi lokomobilami.

Zmarli. Maryan Aleksander Baraniecki, profesor matematyki w uniwersytecie Jagiellońskim, umarł w Krakowie, przeżywszy 47 lat.

Stan powietrza. T. o 8 rano —9° R. w poł. — 3° R. Bar. 748. Idzie w górę. Pogoda.

Na egzaminie adwokackim.

Profesor: Co to jest weksel?

Student milczy.

Profesor (po chwili): Mój młodzieńcze, za to, że nie wiesz, co to jest weksel — jako ojciec wziąłbym cię za zięcia, ale jako profesor muszę cię niestety spalić na egzaminie.

Z aforyzmów.

Tylko ta trójca przyjaciół człowieka pociesza: czas, praca i sztuka.

Dowcip jest jak gra w karty: głupcy widzą karty, ale nie dostrzegają i nie rozumieją gry.

Głupcy mają jedną wyższość nad ludźmi rozumnymi: nie boją się śmieszności.

Korespondencya Administracyi. *Wbny X. Emilian Pociej w Drohowyżu* Prenumerata kwartalna *Przeglądu* wynosi na prowincyi 3 złr. 30 ct. Osoby, które przysyłają tylko 3 złr. będą musiały uzupełnić abonament. Półroczny abonament kosztuje 6 zł. 60 ct.

Teatr. Dziś we środę „Ciepła wdówka", komedya w 3 aktach Michała Bałuckiego. We czwartek „Manon Lescaut", opera w 4 aktach Pucciniego. W piątek „Ciepła wdówka".

Literatura i Sztuka.

* **Opera.** Wczoraj znowu dawano „Manon" Pucciniego. Teatr był pełny, a upodobanie publiczności w tem wielkiem dziele rośnie w miarę liczby przedstawień. I nic w tem dziwnego, — dzieło Pucciniego nie jest bowiem utworem katarynkowym, który obił się już o uszy każdego przedtem jeszcze, nim go usłyszał na scenie; ani też nie jest tak płytkim, aby jego melodye zostawały w umyśle po pierwszem usłyszeniu; lecz jest to dzieło wielkiego talentu, wypracowane przytem nadzwyczaj sumiennie, stąd też nie ma w niem nic zaniedbanego, nic takiego, co powstaje w chwili, gdy wielki umysł wskutek znużenia daje sobie folgę i tem samem zbliża się do wszystkich przeciętnych umysłów. Takie ustępy osłabienia umysłowego wielkich talentów tworzą zwykle pierwsze punkta styczności między niemi a ogółem i od tych ustępów poczyna się popularność wielkich talentów. Takich miejsc nie ma wcale w dziele Pucciniego. Za to bez liku prześlicznych, bogatych instrumentacyą, uderzających nowością i silnych dramatycznie. Akt trzeci jest nieporównanie piękny: — od początku do końca trzyma w naprężeniu i ucho i serce słuchacza. Akt drugi jest z innych względów bardzo zajmującym, ale aby dawał całą estetyczną satysfakcyę, musi być inaczej grany przez p. Kruszelnicką. Niech ta artystka zechce przeczytać utwór księdza Prevost, a przekona się, że Manona była osobą wesołą, bardzo żywą, trzpiotowata, roztrzepaną, figlarną; że właśnie ta jej żywość była okolicznością łagodzącą wszystkich jej wybryków, bo popełniała je ona nie ze złego usposobienia, ale dla tego tylko, że nie miała czasu się zastanowić; tymczasem panna Kruszelnicka tworzy Manonę flegmatyczną, chodzącą ospale, mającą ruchy anemiczne, ciężkie, długie, przeciągłe.

Owóż gdyby Manona miała taki charakter, toby nietylko nie szalał za nią kawaler de Grieux, ale w ogóle mieliby do niej wszyscy uczucia ujemne, bo każdy rozumowałby tak: „musi być to jednak skończona lichota, jeżeli ona mając przy swojej flegmie tyle czasu do namysłu, dopuszcza się takich czynów". Tak jednak w powieści księdza Prevost nikt nie rozumuje, bo wszyscy widzą, że Manon jest żywem srebrem, trzpiotem, nie mającym czasu nad niczem się zastanawiać, ptaszyną, która fruwa i lata, ani sekundy na miejscu nie posiedzi. Taką też chciał mieć Puccini, inaczej nie tworzyłby drugiego aktu. A czyż mógł on przypuszczać, że znajdzie się artystka, która pojmie tak rolę Manony, iż będzie pomału przechodziła z krzesła do kanapy i z kanapy do krzesła, siadała ociężale i flegmatycznie na tych Molierowskich *commodités de conversation* i siedząc na nich, przedstawiała uosobienie flegmy?

Niechby ten akt drugi zagrała artystka z temperamentem Hellerówny, a dopiero zobaczyłaby publiczność jego piękności.

Od profesora Sołtysa otrzymujemy dziś następującą notatkę:

Niesprawiedliwem byłoby pominąć milczeniem dwukrotnego występu p. Lewickiego w roli De Grieux'a w Manon Pucciniego. Śpiewak ten niezwykle utalentowany, mimo, że wezwany do zastępstwa p. Myszugi w ostatniej chwili, śpiewał bez próby, wywiązał się ze swego zadania ku ogólnemu zadowolnieniu. Przedewszystkiem podoba się w pracy jego to przejęcie się sztuką i szlachetny zapał, który w połączeniu z istotnie dobrą akcyą sceniczną i gorącą deklamacyą usposabiają dlań słuchacza jak najsympatyczniej. *M. Sołtys.*

Część ekonomiczna.

Wiedeń 25 lutego.

(*Z*) Burza, która od dawna zbierała się nad naszą giełdą, nareszcie rozszalała się. Dzień wczorajszy i dzisiejszy na długie lata będzie pamiętnym. I jeżeli się pomyśli, że ten zamęt bezgraniczny powstał nie skutkiem jakiejś politycznej katastrofy, ale skutkiem błahej wiadomości, że węgierski zakład kredytowy daje o 2 złr. niższą dywidendę, to dopiero zrozumieć można należycie, na czem właściwie opierał się ten kolosalny ruch zwyżkowy, który łatwowierni brali za zdrowy objaw postępu naszego. Niesumienna spekulacya, rozzuchwalona długiem powodzeniem, tryumfowała aż do przedwczoraj, naraz przerwano jedną nitkę, t. z. ogłoszono motywa węgierskiego Zakładu kredytowego, że wprawdzie mógłby on i w tym roku dać 24 złr. dywidendy, ale nie czyni tego, bo liczy się z niekorzystną sytuacyą naszego przemysłu i dla tego woli dać akcyonaryuszom o 2 złr. mniej a znaczniejszą sumę przenieść na rachunek roku bieżącego — a kursa w jednej chwili poczęły się staczać w przepaść i to skokami po 5, 10, 15 złr. Były chwile n. p., że węgierskie kredyty w ciągu kwadransa spadły o 30 zł., a ostatecznie zamknięto je o 27 złr. niżej jak w sobotę.

Trzeba nadto wziąć na uwagę, że giełda berlińska ani na chwilę nie próbowała powiększyć zamięszania na targu naszym, lecz zajęła stanowisko wyczekujące i przez cały dzień dzisiejszy arbitraż nie sprzedał ani jednej partyi na rachunek Berlina.

Wszelako miejscowego materyału, wystawionego na sprzedaż, było takie mnóstwo, że giełda nie mogła sobie z nim dać rady. Wszystkie tutejsze kantory skupowały ostatnimi czasy walory dla klientów, którzy na jedną akcyę kredytową dali 5 lub co najwyżej 10 zł. pokrycia, dziś pokrycie to było w ciągu kilku minut wyczerpane, kantory sprzedawały więc w drodze egzekucyjnej tysiącami papiery dla miejscowych i zamiejscowych klientów.

Niestety jest między nimi mnóstwo ludzi, którzy nie należą do zawodowych graczy giełdowych, lecz ulegli pokusie tak długiej haussy i oszukańczych artykułów wielu pism finansowych i postanowili spróbować szczęścia. To są prawdziwe ofiary. Wielu z tych ludzi posiadało eszcze przedwczoraj mająteczek, który im mógł zapewnić skromne utrzymanie aż do śmierci, a dziś grosza nie mają, jeszcze narażeni być mogą na procesa o wyrównanie różnic kursowych. Gdzie leży źródło dzisiejszej klęski, poznać można także ztąd, że zniżka bezprzykładna obejmowała tylko te walory, w których kwitła najbujniej spekulacya, o wiele mniej ucierpiały walory kolejowe, a renty prawie wcale nie zostały dotknięte, gdyż przy takiej panice jak dzisiejsza, zniżka $^1/_4$% jest prawie nic nie znaczącą.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 396·—, węgierskie 462.75, Anglobanki 170·75, Uniony 319.—, Bankvereiny 152.00, Länderbanki 282.—, Ludwiki 220·25, Czerniowieckie 309·00, Elbathale 275·50, Renta papierowa 101·35, srebrna 101·30, austryacka złota 125.20, 4% austr. renta wal. kor. 100·85, węgierska złota 123.85, 4% węgierska renta wal. kor. 98.95, dukat 5·81—, 20-frankówka 9·81, marki 12·08, ruble 1·32$^1/_4$.

Wiedeń 25 lutego. Spirytus 15·40—15.60.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 27 lutego.

Tendencya lepsza wskutek zapotrzebowania młynów lokalnych i słabej podaży, utrzymuje się szczególniej co do pszenicy, chociaż i inne produkta łatwiejszy zbyt znajdują; co do spirytusu tendencya zniżkowa, chmiel ciągle bez popytu.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 6·30 do 6·80, żyto gotowe 4·50 do 5·15, owies obroczny gotowy 5·— do 5·50, jęczmień browarniany 4·80 do 5·50, jęczmień pastewny 4·25 do 4·75, rzepak 8·— do 8.75, lnianka 5·75 do 6·50, siemię konopne —·— do —·—, anyż —·— do —·—, groch pastewny —·— do —.—, groch jadalny 4·50 do 8·50, wyka 5·— do 6·—, bobik 4·25 do 4·60, hreczka 5·80 do 7·50, kukurudza stara 6·25 do 6·50, kukurudza nowa 5.50 do 5·75, chmiel za 56 kilo 20·— do 30, koniczyna czerwona 50·— do 70·—, koniczyna biała 65·— do 100·—, koniczyna szwedzka 45·— do 65·—, tymotka 25·— do 35·—, spirytus za 10·000 litr. proc. loco stacye kolei 12·50 do 13·—, spirytus na termina 13·— do 13·50.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.** Kraków 26 lutego.

Konjunktury zbożowe nie uległy w ostatnim czasie żadnej zmianie. Stalsza tendencya, wywołana brakiem dowozów, utrzymuje się bez przerwy, jednakowoż zwyżka cen nie robi dalszych postępów, a notowania terminowe na giełdach zbożowych, jak były, tak są niskie. W tych warunkach obroty na dzisiejszym targu były dosyć ograniczone, gdyż z wyjątkiem pszenicy, która jest poszukiwaną, odbyt na inne produkta jest słaby, a ceny trzymały się na tej samej wysokości.

Płacono pszenicę białą 7·30 do 7·55, czerwoną 7·15 do 7·45, żółtą 7·15 do 7·45, żyto 5·70 do 6·10, jęczmień browarny 6·00 do 6·50, na kaszę 5·— do 5·25, owies 0·00 do 0·00 zł., rzepak —·— do —·—. Koniczyna czerwona 50 do 75, biała 90·— do 100, tymotka 30·— do 36·— zł., wyka 5.50—6.00; bób 5.25—5.40 zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 27 lutego. Pogrzeb arcyks. Albrechta odbył się wczoraj popołudniu ściśle wedle ceremoniału. Za trumną szedł Cesarz Franciszek Józef mając po prawicy cesarza Wilhelma, za nimi postępował wielki książę Włodzimierz z księciem Aosty, dalej saski książę Jerzy z księciem bawarskim Arnulfem i inni obcy książęta parami, następnie bliżsi krewni zmarłego: arcyksiążęta Fryderyk, Eugeniusz, Karol Stefan, książęta wirtemberscy Albrecht, Robert i Mikołaj, tudzież inni arcyksiążęta. Cesarz niemiecki, wielki książę Włodzimierz i książęta saski i bawarski mieli na sobie mundury austryackie.

Na ulicach, któremi przechodził kondukt pogrzebowy, panował taki ścisk, jakiego nie pamiętają najstarsi ludzie. Obliczają, że było jakie 300—400.000 ludzi. Chwilami tłok przybierał takie rozmiary, że zachodziła obawa o życie ludzi. Dwa razy przerwała publiczność szpaler wojska, mimo to jednak zdołano utrzymać porządek i nie było żadnego poważniejszego wypadku. Wojska wyruszyło ogółem 39 batalionów piechoty i 7 szwadronów konnicy. Pochód żałobny z zamku cesarskiego do odległego zaledwie o kilkaset kroków kościoła OO. Kapucynów trwał przeszło pół godziny. Gdy trumnę wnoszono do kościoła, dały ustawione wojska salwy karabinowe, a równocześnie dała artylerya ustawiona na odległych punktach miasta salwy armatnie. Po ostatniej salwie sprezentowały wojska broń a wszystkie kapele zaintonowały hymn ludowy.

Cesarz niemiecki złożył wczoraj po południu pół godzinną wizytę hr. Kalnoky'emu. Dzisiejszy obiad w ambasadzie niemieckiej odwołano, gdyż cesarz Wilhelm będzie na wielkim obiedzie dworskim w pałacu cesarskim.

Wiedeń 27 lutego. Komisya budżetowa obradowała wczoraj nad rubryką budżetu „administracya skarbowa". Referent tej rubryki p. Kozłowski oświadczył, że wydatki tej rubryki zwiększą się skutkiem zamierzonego polepszenia awansu urzędników podatkowych przez systemizowanie nowych posad oficyałów. — P. Menger żalił się na nieuzasadnione podwyższenie podatków w wielu okręgach. — P. Piniński żądał, aby przy wymiarze podatków uwzględniano obecne niekorzystne stosunki rolników.

Minister Plener zapewnił, że nie wydał władzom skarbowym żadnego polecenia podwyższania podatków. Następnie odpowiedział minister szczegółowo na zapytanie p. Kaizla co do obecnego przesilenia na targu cukrowym. Minister zapewnił, że rząd bacznem okiem śledzi dzisiejszą niekorzystną sytuacyę przemysłu cukrowego. Z tego jednak, co dotychczas wiadomo, wnosić można, że przesilenie to nie przybierze większych rozmiarów, przeciwnie, można się spodziewać, że dzisiejszy stan depresyi przejdzie jak tyle innych peryodycznie powtarzających się przesileń. Na poruszoną myśl zniżenia bonifikacyi eksportowej nie zgadza się minister, gdyż w innych państwach, a osobliwie w Niemczech i Francyi rozwinięto silną agitacyę nie za zniżeniem, ale za podwyższeniem tej bonifikacyi. Z drugiej strony jednak sprzeciwia się minister także poruszonej myśli zniżenia podatku od cukru. — W dalszym toku podniósł minister ten pocieszający fakt, że w ciągu lat ostatnich eksport rafinady wzrósł bardzo znacznie w stosunku do eksportowanej dawnej ilości cukru surowego. W końcu oświadczył minister, że usiłowań fabrykantów celem podwyższenia ceny cukru w kraju za pomocą kartelu rząd popierać nie myśli.

Rubrykę „administracya finansów" przyjęła izba bez zmiany.

Wiedeń 27 lutego. Prezes gabinetu węgierskiego Banffy konferował wczoraj przed południem z ministrami Plenerem i Kallayem, był na obiedzie u ks. Windischgraetza, a wieczorem odjechał do Pesztu wraz z innymi ministrami węgierskimi.

Berlin 27 lutego. Podczas debaty nad budżetem ministerstwa oświaty zażądał p. Conrad zaprowadzenia na Szląsku nauki religii w języku polskim, minister oświaty sprzeciwił się jednak stanowczo temu żądaniu, oświadczając, że przez spełnienie go podsyciłoby się tylko wielkopolską propagandę na Szląsku. Posłowie z centrum stanęli w tej sprawie energicznie po stronie polskiej.

Obiega pogłoska, że minister Koeller, który w niedawnej dyskusyi nad towarzystwem dla krzewienia niemczyzny zajął w obec Polaków tak szorstkie stanowisko, popadł w niełaskę u cesarza.

Londyn 27 lutego. Izba niższa ogromną większością bez głosowania nawet przyjęła wniosek Everetta, wzywający rząd, aby razem z innemi mocarstwami współdziałał na międzynarodowej konferencyi monetarnej, celem zapobieżenia fluktuacyom wartości srebra w stosunku do złota.

Do biura Reutera donoszą, że car ofiarował urząd ministra spraw zagranicznych tutejszemu ambasadorowi Staalowi.

Wiedeń 27 lutego. Książę Aosty złożył wczoraj wizytę cesarzowi niemieckiemu, a dziś był na pożegnalnej audyencyi u Cesarza Franciszka Józefa, poczem pojechał na śniadanie do ambasady włoskiej. Na śniadaniu tem był także hr. Kalnoky.

Wiedeń 26 lutego. Cesarz niemiecki bawił wczoraj aż do północy u ambasadora niemieckiego hr. Eulenburga, który zaprosił był do siebie mnóstwo pań i panów z wyższej szlachty. Dziś rano był cesarz niemiecki u W. ks. Włodzimierza, ale go nie zastał w domu, więc zostawił tylko bilet. Dziś wieczorem odjeżdża po dworskim obiedzie do Berlina.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 25 lutego. J. hr. Potocki z Rymanowa. K. Lipiński z Sanoka. T. Pohorecki z Dydni. A. Zapolski z Januszkowiec. H. Zeitheim z Plewlii. A. dyr. Volter z Tłumacza. J. Margulies z Nowosiółki. A. Polnay z Szegedyna. F. Najder z Małkowiec. M. Weniger z Biały.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWRON i Spółka.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 26 lutego. T. Jaworski z Skwarzawy. Dr. Czaykowski z Przemyśla. Dr. A. Loewy z Nizzy. B. Osuchowski z Beniowy. M. ks. Pruchnicki z Turki. A. Goldman z Berlina. Dr. W. Żelazowski z Rudki. E. Pollak z Wiednia. F. Taussig z Tabor.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Za oddanie ostatniej usługi nieodżałowanemu ojcu naszemu ś. p. Franciszkowi Niżankowskiemu, za okazane nam współczucie w ciężkiem strapieniu jakie nas dotknęło, poczuwamy się do obowiązku złożenia serdecznego podziękowania Wielebnemu proboszczowi księdzu Kaweckiemu i Wielebnemu proboszczowi księdzu Kniahynickiemu wraz z łaskawem duchowieństwem obu obrządków, WP. Staroście c. k. radcy Juljuszowi Prokopczykowi, W. P. Naczelnikowi sądu c. k. radcy Stanisławowi Prominskiemu, wszystkim przedstawicielom Władz rządowych i autonomicznych, oraz przyjaciołom naszym.

Niechaj ten skromny objaw będzie choć w części wyrazem naszej niewygasłej wdzięczności.

Zaleszczyki dnia 25 lutego 1895. RODZINA.

Wielmożnemu Panu Dr. Janowi Sułowskiemu za łaskawą bezinteresowną a sumienną opiekę roztoczoną w czasie choroby ojca naszego ś. p. Franciszka Niżankowskiego, którego pielęgnował jak serdeczny lekarz, przyjaciel, poczuwa się do świętego obowiązku niewygasłej wdzięczności, pozostała RODZINA.

Zaleszczyki dnia 25 lutego 1895.

Lwów dnia 27 lutego (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 218·50 do 221·50, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 305.— do 308·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 470.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.15 100·85, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·80 do 101.50, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 97·80 do 98·50.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·90 do 98·60 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.00 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105-50 —·—, 4 pół proc. 100.50 do 101.20, 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98·50, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·— do 98·70.

Monety. Dukat cesarski 5·79 do 5.89, Napoleondor 9.77 do 9.87, Półimperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.33, 100 marek niemieckich 60.25 do 60·75.

Wiedeń 26 lutego. Notowania wieczorne. Kredyty 391·12, węgierskie kredyty 459.50, anglobank 170·00, bankverein 152·50, uniony 314·50, länderbank 282·—, akcye kolei państwowych 383·75, lombardy 103·50, elbethal 273.—, akcye tytoniowe 242.50, rima 264.—, alpiny 82·50, renta majowa 101.10, węg. renta złota 123·70, austr. renta koronna 100·00, węgierska renta koronna 98·95, losy tureckie 73·15, marki 60·37, ruble 132·25.

Wiedeń 27 lutego (godz. 11 w południ.) Kredyty 393.50, kred. węg. —.—, Anglobanki 172.25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 283.50, Akcye tyton. 244.50, Staatsbahny 385.75, Lomb. (z kup.) 104.35, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.32, Losy tureckie —·—.

40)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Znałem ją od kolebki — mówił żałośnie — i dlatego radzę ci, kochany Marlowe, trzymaj ją krótko. Nie pozwalaj jej na żadne wybryki. Kobiety dzisiejsze mają dziwną skłonność do samowoli i uporu, a ze wszystkich, jakie znałem w życiu, ona jest niezaprzeczenie najkrnąbrniejszą.

— Kto? Gracya? uśmiechnął się z niedowierzaniem narzeczony, wymawiając drogie sercu imię tonem, który brzmiał jak pieszczota.

— Zobaczymy, jak będzie śpiewał za miesiąc — pomyślał w duchu ojczym, potem dodał głośno: — Nie przeczę, że moja pasierbica posiada pewne zalety, ale wychowanie jej zostało chybione. Aż do powtórnego swego wyjścia zamąż, matka żyjąca wyłącznie dla niej, psuła ją bez opamiętania, dogadzając wszystkim jej zachciankom i kaprysom. Żona moja, jak wszystkie kobiety, grzeszy zawsze słabością chrakteru tam, gdzie uczucia jej są w grze. Co do mnie, nie przyszło mi z łatwością spełnianie obowiązków ojczyma; mężczyzna nie może wywierać władzy swojej na cudzej córce tak, jakby to uczynił na swojej własnej, zwłaszcza kiedy matka stawia mu przeszkody na każdym kroku. Ztąd powstały częste starcia pomiędzy mną a Gracyą, starcia, w których, wyznaję ze wstydem, że nieraz wola jej przemogła moją. Moje pojęcia rodzicielskich obowiązków są bardzo wygórowane; moje poczucie małżeńskiej odpowiedzialności jest bardzo silne; ale jakkolwiek utrzymuję niezachwianą przewagę nad żoną i własną rodziną, jednak nie udało mi się okiełznać samowolnej natury przybranej mojej córki. Dlatego jako przyszłego jej męża, na którego zlewam prawa moje ojcowskie, ostrzegam cię, że będziesz miał z nią niejedno ciężkie przejście; to też wierzaj mojemu długoletniemu doświadczeniu i od pierwszej chwili weź ją krótko. Niech uczuje przewagę twojej woli. Małżeństwo, kochany Marlowe, to jest rzecz poważna... bardzo poważna i godna zastanowienia...

Andrzej siedząc przechylony na bambusowem krześle, z ręką trzymającą szklankę wspartą o stół, odrzucił w tył głowę na te słowa ruchem chłopięcego rozweselenia i zaśmiał się szczerym, wesołym śmiechem niczem niezamąconej radości.

— Dziękuję panu za przestrogę — rzekł. — Jednem słowem, jeżeli ja nad nią góry nie wezmę, to ona mnie weźmie pod pantofel.

— Tak, właśnie. I są ludzie, którzy cieszą się z małżeństwa!...

— A czemużby nie? Niechby mi wsadziła swój śliczny pantofelek choćby na głowę. Ja ani myślę usuwać się z pod niego.

Wobec tak rewolucyjnych zasad i lekkomyślnego traktowania tak poważnego przedmiotu, jak kwestya absolutyzmu mężowskiego, pan Forde Cusacke zgorszony wydął pogardliwie usta i zamilkł na chwilę.

— Powinniby ludzie bić w pogrzebowe dzwony i przywdziewać żałobę w dzień ślubu, zamiast stroić się i weselić niewiedzieć z czego — odezwał się ponuro. — Czyż to warto robić tyle zachodów dla takiej niedorzeczności?

Pan Forde Cusacke odkładał tak długo, póki tylko mógł, termin ślubu swej pasierbicy, uważając za wielką niedogodność dla siebie i stratę czasu dopełnianie jakichś tam formalności ślubnych, oraz zdawanie rachunków z opieki nad majątkiem powierzonym jego administracyi. Nie mogąc zabronić swojej pupilce wyjścia zamąż, postawił za warunek, aby Gracya doczekała wpierw swej pełnoletności, aby za jednym zamachem raz już z nią skończyć. Obecnie więc, gdy dzień ślubu był już blizkim, a w całym domu panowało zamięszanie, nieodłączne od przygotowań do tak wielkiej uroczystości, nieszczęśliwemu człowiekowi usuniętemu na drugi plan i pozbawionemu towarzystwa usłużnej i bacznej na każde jego skinienie żony, nie pozostawało jak poddać się opłakanemu losowi, co też uczynił, utyskując gorzko na brak względów i zastanowienia ze strony pani Forde Cusacke, która nie dość, że corocznie obdarzała go nowym potomkiem, narażając na tyle kłopotu i kosztów, ale jeszcze uważała za stosowne poświęcić jego wygody i nawyknienia dla córki tego poczciwego niedołęgi Branda, której uparła się wyprawić uroczyste wesele. To też długo, ale bezskutecznie walczył przeciw postanowieniu matki i córki.

— Gracya mogłaby, posiadając taki majątek osobisty, wybierać pomiędzy najpierwszemi partyami w kraju — dowodził uparcie.

— Mój drogi, wiem o tem — z niezwykłą stanowczością odparła żona — ale ona nie dba o wielką partyę, a chce wyjść za Andrzeja Marlowe. Zapewne, że nie jest to los świetny pod względem materyalnym, ale jemu osobiście nic zarzucić nie można. Ma wielką karyerę przed sobą, a rodzinne jego stosunki są jaknajlepsze. Znamy go od dziecka prawie, jest bardzo do niej przywiązany, oboje mają wspólne gusta i upodobania, słowem, posiada on wszystkie warunki, aby ją uczynić szczęśliwą. Jest to z obu stron małżeństwo z miłości, w którem postronne względy nie odgrywają żadnej roli.

— Małżeństwa z miłości błędnemi są z zasady — twierdził pan Forde Cusacke napuszonym tonem. — To dobre dla pensyonarek i studentów, ale nie dla dorosłych ludzi, którzy szczęście powinni gruntować na poważniejszych podstawach.

Pani Forde Cusacke była odmiennego zdania. Pierwszy raz wyszła zamąż z miłości i była bardzo szczęśliwą aż do chwili, kiedy „ten poczciwy niedołęga Brande" zginął bohaterską śmiercią usiłując ocalić załogę rozbitego okrętu. Poważne podstawy, na których ugruntowała szczęście swoje w powtórnym związku, dały jej tak wątpliwe rezultaty, że gdyby tylko miała czas zastanowić się nad swojem obecnem położeniem, nawet bierna jej i uległa natura zbuntowałaby się niezawodnie przeciw monopolowi mężowskiej tyranii. To też po raz pierwszy w życiu zdobywszy się na energię, stanowczo oparła się woli męża i doprowadziła do skutku małżeństwo córki.

— Niechże choć tem jednem zadosyć uczynię jej za przeszłość — myślała w duchu.

— Jaka ty dobra jesteś dla mego Andrzeja, mamo! — mówiła Gracya rozczulona.

— Bo on jest taki dobry dla ciebie, tak cię kocha, dziecko moje — odparła. — Jakżeby mógł nie zjednać sobie tem serca matki?

— Mamo! czemuż ja nie mogę zatrzymać cię przy sobie całe życie? — zawołała Gracya, ocierając łzy.

Matka westchnęła, wtórując w sercu temu życzeniu. Ciężko jej przychodziło rozstać się ze swoją pierworodną córką, którą kochała nad wszystkie dzieci zrodzone z drugiego małżeństwa.

Całe młode pokolenie Forde Cusacke'ów napełniło dom gwarem i ruchem w wigilię ślubu. Gdy Andrzej powrócił z parku z przyszłym swoim przyrodnim teściem, zastał narzeczoną siedzącą w salonie, otoczona żywym wieńcem jasnych, ufryzowanych główek, cisnących się dokoła jej kolan i ramion a spoglądających z zaciekawieniem na robótkę, którą wykończała w ręku.

— Cóż to za pilna robota, która tak pochłania twoją uwagę? — spytał Andrzej, gdy mała gromadka rozprysła się nareszcie i mógł sobie utorować drogę do Gracyi. — Co widzę? Znowu lalka...

— Jakiś ty nieuważny! — zawołała Gracya, gdy pochyliwszy się wziął do rąk porcelanową lalkę, przybraną w bretoński strój panny młodej i drgnąwszy, pomimowoli opuścił ją na ziemię, jakby dotknięcie jej sparzyło go. — Lekceważysz sobie mój trud, niewdzięczniku! A ja tak chlubiłam się z tego, że tak wiernie skopiowałam strój z twoich bretońskich szkiców!

— Tak... znakomicie — odparł roztargniony. — Ale gdzież ty to wszystko pomieścisz? Tyle już jest tych zabawek w dziecinnych pokojach.

— To też nie jest to dla naszych dzieci — rzekła Gracya, przyglądając się z upodobaniem swemu dziełu — ale dla tej twojej biednej, maleńkiej Andrei.

— Dla mojej...?

— Należy do ciebie, bo na mocy tego, że ty pierwszy odkryłeś trupa tej biednej matki, zastrzegłeś sobie prawo zaopiekowania się dzieckiem i łożenia na koszta jego utrzymania. Taka rada byłam z tego twojego dobrego uczynku, ach! taka rada, że wypowiedzieć ci nie umiem. Bo muszę ci się już przyznać... Jestem niegodziwa... Ucieszyłam się, że coś mi przeszkodziło zająć się jej losem... Coś mnie odpychało formalnie od tego dziecka, od tej biednej, nieszczęśliwej, opuszczonej sierotki. Nie umiem sobie wytłómaczyć, dlaczego była mi poprostu wstrętną? Boże mój! jakże to okropne! Jaki brak serca z mej strony! Takie biedactwo maleńkie, biedne opuszczone!...

— Teraz rozumiem znaczenie lalki — odparł Andrzej zamyślony.

Całe towarzystwo przeszło do buduaru, w którym wystawione były ślubne podarki. Promienie księżyca wpadały ukośną smugą do pokoju przez okno otwarte na pogodną noc letnią.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. — Papier z fabryki Braci Fuhlkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.